Nr. 177. Lwów — Piątek dnia 10 Sierpnia. Rok 1906.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA i PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nieprzyjmuje

Dziś: 10 | św. Wawrzyńca S. | 10 | Prochora
Jutro: 11 | św. Zuzanny P. | 11 | Kalinika

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 4 min. 18
Zachód „ „ 6 „ 37

Długość dnia godzin 14 min. 19
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Serbskie wymysły.

Jeżeli jakiś rząd chce ogłosić, lub pokazać deputowanym korespondencyę dyplomatyczną z któremkolwiek państwem, to zgodnie z przyjętym zwyczajem powinien pierwej zapytać owo państwo, czy ono nie ma nic przeciw takiej publikacyi, a dopiero po otrzymaniu odpowiedzi postąpić, jak uzna za dobre dla siebie. Uchylenie się od tego zwyczaju uchodzi za niegrzeczność, która zawsze daje powód do żądania wyjaśnień. Rząd serbski zamierzył pokazać skupszczynie na jej tajnem posiedzeniu korespondencyę z Austro-Węgrami w sprawie traktatu handlowego i zamówienia armat, więc odpowiednie zapytanie wystosował do Wiednia 29 lipca, a już 31-ego otrzymał zawiadomienie, iż może robić, co mu się podoba. W parę dni potem, z mowy serbskiego ministra finansów p. Belikowica w skupszczynie, dowiedziano się w Wiedniu, że ową korespondencyę z Austro-Węgrami pokazał Pasicz deputowanym już 30 lipca, a więc przed otrzymaniem wiadomości z Wiednia. W skutek tego kierownik austro-węgierskiego poselstwa zjawił się u Pasicza, aby w imieniu rządu wiedeńskiego wyrazić zdziwienie, iż gabinet serbski pozwolił sobie na taką niegrzeczność. Więcej nic nie było.

Lecz dzienniki zrobiły z tego wypadku „zatarg“, który trąci prochem. Tegoż dnia, mianowicie 5 b. m. dzienniki belgradzkie doniosły, że władze w Chorwacyi i Slawonii nakazały rolnikom coprędzej sprzątnąć żniwa, albowiem wnet nastąpi wielki przemarsz wojska; w Sremie austryaccy kwatermistrze zajęli domy na ulokowanie pełnego korpusu wojsk; a w Zemlinie (na przeciw Belgradu, tylko po węgierskiej stronie Dunaju) pojawili się sztabowi oficerowie kilku austro-węgierskich dywizyj. Słowem, Austro-Węgry widocznie grożą Serbii armią. Z tej wiadomości dzienników belgradzkich można się tylko zaśmiać, bo przedewszystkiem wojska chodzą drogami, a nie polami, zatem nie było potrzeby wzywać Chorwatów i Slawonów, aby ze swych pól sprzątnęli półkopki, jeżeli one tam jeszcze stoją, bo o ile wiemy ze sprawozdań giełdowych, pszenica cisańska już od połowy lipca jest na targu; następnie, gdyby cały Srem zajęto, to jeszcze nie zdołanoby tam ulokować pełnego korpusu, t. j. 28.000 żołnierzy, a w końcu być może, iż oficerowie sztabowi bawią w Zemlinie, bo, jak wiadomo, oni małemi grupami całe lato, w różnych stronach państwa, odbywają ćwiczenia bez żołnierzy.

Doniesienie dzienników belgradzkich było tedy plotką. Lecz w poniedziałkowych numerach pism peszteńskich podano także pogłoski o jakiejś mobilizacyi na pograniczu serbskiem i dodano, że w Peszcie sfery polityczne są zaniepokojone. *Magyar Orszag* — organ teraźniejszej większości sejmowej, — zażądał, aby ministeryum natychmiast wytłómaczyło publiczności, co się dzieje na granicy?

W urzędowym *Nemzecie* i w innych dziennikach wnet oznajmiono, że nic się nie dzieje. I byłby koniec tym bajkom, gdyby w cetyńskiej gazecie *Ustawność* nie pojawiło się takie doniesienie z Belgradu:

„W drugiej połowie roku 1904-go pewne zaprzyjaźnione mocarstwo poufnie dało znać rządowi serbskiemu, że sprawa macedońska i wszystkie inne, związane z nią na Bałkanach, będą ostatecznie rozwiązane najpóźniej w roku 1908-ym, a zapewne wcześniej. Ponieważ przytem wytworzy się silne naprężenie, przeto owo zaprzyjaźnione mocarstwo zaleciło rządowi serbskiemu przyśpieszyć uzbrojenie armii, aby ona mogła godnie dostroić się do wielkich wypadków; przy tej sposobności owo mocarstwo poradziło rządowi serbskiemu, aby był nadzwyczaj oględny przy zamówieniu nowych armat i nie czynił tego zamówienia w takiem państwie, któremu może na tem zależeć, iżby Serbia nie była na czas uzbrojona; armaty, zamówione w tem państwie, z pewnością nie będą dostawione na termin. Otrzymawszy takie ostrzeżenie w roku 1904-tym, ówczesny serbski prezes ministrów Pasicz wystarał się we Francyi o pożyczkę 110-ciu milionów dinarów i zamierzył zamówić armaty we francuskiej fabryce Schneidra. Było to rozsądne, ponieważ Francya jest neutralna w sprawach bałkańskich, a jest życzliwa dla Serbii. Lecz, jak wiadomo, jakieś tajne, nieuchwytne siły udaremniły cały ten plan Pasicza i nawet jego samego obaliły. Następca jego Stojanowicz, aby się utrzymać u steru, przewlekał sprawę pożyczki i zamówienia armat, co właśnie wychodziło na korzyść mocarstwa, któremu zależy na tem, aby Serbia się nie uzbroiła. Tymczasem coraz bardziej zbliżała się chwila, w której mają się zacząć doniosłe wypadki. W Belgradzie znów pomyślano o pożyczce i armatach, lecz wtedy Austrya wywołała pierwszy zatarg celny, zażądała zamówienia armat w swojem państwie i w końcu obaliła Stojanowicza. Ale tym razem król powołał Pasicza, chociaż on nie ma większości w skupszczynie, szło bowiem o to, aby człowiek energiczny przeprowadził uzbrojenie armii serbskiej z nadzwyczajnym pośpiechem. Tu jednak Austrya zrzuciła maskę: wydała Serbii wojnę celną, albowiem dobrze obliczyła, że dopóki Serbia nie ustali swej ekonomicznej przyszłości, dopóty nigdzie nie otrzyma pożyczki, a więc nie będzie mogła zamówić armat. Cóż więc Serbii pozostaje wobec prawdopodobieństwa takich faktów, jak zajęcie jej przez armię austryacką i zabór Macedonii przez Austro-Węgry? Nic innego, jak w unii z Bułgaryą, a z nadzieją na pomoc życzliwych mocarstw stanąć do rozpaczliwej walki o swe istnienie!“

Takiem oto oszczerstwem postarano się z Belgradu via Cetynię oczernić Austro-Węgry. Inaczej tę samą sprawę przedstawili członkowie serbskiej skupszczyny: w niej zarzucili oni rządowi, że ani pożyczki dotąd nie ma, ani armat nie zamówiono jedynie dlatego, iż łapówki, wzięte przez komisyę wojskową, ogromnie zagmatwały sprawę; — łapówki skrępowały Pasicza, a nie austryackie żądania...

Serbia straszy Austryę unią z Bułgaryą. Mogłoby to mieć jakieś znaczenie, gdyby naprawdę się zanosiło na okupacyę Serbii przez wojska austro-węgierskie i gdyby w dalszym ciągu dążono w Wiedniu do wojny z Turcyą, a może także i z Grecyą, Czarnogórą i Włochami o Macedonię. Ale w Wiedniu nie rodzą się takie waryackie pomysły, jak w głowach korespondentów belgradzkich do cetyńskiej *Ustawności*.

Waśń grecko-bułgarska.

W Bułgaryi odbywają się pogromy Greków. W Filipopolu, Burgasie i Stanimace tłumy zburzyły ich domy i sklepy, a w Warnie, w chwili gdy do tego miasta wjeżdżał nowy grecki biskup, cała ludność wystąpiła przeciw Grekom, zbiła ich i razem z tym biskupem wypędziła z miasta na okręty. W Sofii zebrało się podobno 30.000 ludzi, aby zburzyć grecki jeneralny konsulat, a łaźnię sprawić wszystkim Grekom. Rząd musiał wojsko wystawić i niem rozpędzać zawzięte tłumy; przyszło nawet do pukaniny i do rozpraw na szable, w końcu jednak pozwolono tłumowi urządzić owacyę przed konsulatem rumuńskim za to, że i Rumunia wypędza Greków, a potem uchwalić rezolucyę do rządu, aby usunął z kraju wszystkich co do nogi Greków. Mienie ich niszczą w całym kraju.

Rumuński poseł w Wiedniu p. Lahovary, poproszony o wyjaśnienie tych stosunków, tak mówił o nich: Grecy zajmują się bankierstwem i handlem na całym półwyspie, a zwłaszcza w Rumunii i Bułgaryi, gdzie zazwyczaj dochodzą do ogromnych majątków. Są oni z dawnych czasów mieszkańcami Rumelii i razem z tym krajem przeszli pod panowanie bułgarskie. Posiadają więc miejscowe obywatelstwo, niemniej jednak wszystkiemi uczuciami związani są z Grecyą i do niej się zazwyczaj wynoszą, zrobiwszy na handlu majątek. W Bułgaryi tworzą osobne gminy wyznaniowe, chociaż należą z Bułgarami do jednej wiary. Cerkiew bułgarska zostaje pod zwierzchnictwem egzarchy, a cerkwie greckie w Bułgaryi należą do patryarchy ekumenicznego. W ten sposób w wielu miastach są biskupi zamianowani przez egzarchę — dla Bułgarów, a oprócz tego biskupi greccy, zamianowani przez patryarchę ekumenicznego — dla Greków, chociaż wiara jest jedna. Duchowieństwo greckie, przeniknięte panhelenizmem, oddaje się mrzonkom o możliwości wskrzeszenia Bizancyum, wmawia tedy w ludność grecką na całym półwyspie, że Rumunia, Bułgarya, Serbia i ziemie tureckie — to polityczne utwory przemijające, gdyż z czasem znowu będzie wszędzie imperyum greckie ze stolicą w Konstantynopolu. Tego uczą także w szkółkach parafialnych. Rzecz naturalna, że pod wpływem takiej propagandy Grecy nie czują się obywatelami państw, w których mieszkają, uważają się za chwilowych eksploatatorów swoich współmieszkańców, a postępując odpowiednio do takich wyobrażeń, zapracowali na żywą niechęć miejscowej ludności. Więc kiedy bandy, zorganizowane w Grecyi, poczęły wyrzynać w Macedonii ludność rumuńską i bułgarską, powstały najpierw w Rumelii, a następnie w całem księstwie bułgarskiem napaści na greckich bankierów i kupców, którzy swym nietaktem, postawą wyzywającą, lekkomyślnem nadużywaniem samoobrony doprowadzili do takiego rozjątrzenia, że z napaści przyszło prędko do pogromów. Nie ma ich w Rumunii tylko dlatego, że w niej znacznie mniej Greków, ale przykre zajścia były w Gałacu, Braile, Sulimie i Constanzy. Grecy wogóle postępują, jak zepsute dzieci, rozpieszczone przez Europę. Dość przypomnieć sobie rok 1896-ty. Wszystkie mocarstwa wzywały wówczas rząd ateński, aby nie zrywał pokoju, a jednak on wydał wojnę Turcyi i oczywiście sromotnie ją przegrał. Wiedział przecież, że z pewnością tak będzie, bo chociaż Turcya w niejednem słaba, lecz armię posiada wyborną, a Grecya przeciwnie nie może się poszczycić dobrą organizacyą militarną. Dlaczegoż w takim razie Grecya wydała wojnę? Rzecz prosta: w Atenach polityka robi się w kawiarniach. Co się w nich wśród hałasów postanowi, to rząd musi spełnić, choćby wiedział, że czyni rzecz złą. Opór na nic się nie zda. Upadnie rząd, nieposłuszny kawiarnianym krzykaczom, przyjdzie inny, który do ich woli się zastosuje. Grecya przegrała wojnę z Turcyą, a jednak stało się to, czego ona chciała, bo Kretę wyłączono z administracyi tureckiej. Wogóle Grekom wszystko wolno. Tak i teraz. Bułgarya zastosowała się do woli mocarstw i od r. 1902 nie pozwala na swem terytoryum tworzyć band macedońskich, a Grecya pomimo wszelkich przedstawień mocarstw zezwala na tworzenie takich band. To też jeżeli kto doprowadzi na Bałkanie do zawieruchy wojennej, to tylko Grecya.

Korespondencye.

Wiedeń 7 sierpnia.

(Sprawa rewizyi procesu Hülsnera. Wystąpienie Maxa Nordaua. Zasadniczy wyrok najwyższego trybunału w sprawie obrazy honoru, popełnionej przez telefon.)

(y). Znany pisarz i jeden z najwybitniejszych działaczy syonistycznych Max Nordau, zamieszkały w Paryżu, chce, jak się zdaje, odegrać w sprawie Hülsnera mniej więcej taką samą rolę, jaką odegrał Emil Zola w sprawie Dreyfussa. Przed kilku dniami ogłosił on w *Neue Freie Presse* artykuł w rodzaju słynnego Zolowskiego „J'accuse“, w którym wzywa wprost najwyższy zarząd sprawiedliwości w Austryi, ażeby przywrócił Hülsnerowi wolność, bo on jest niewinny. Na poparcie tego swego twierdzenia powołuje się Max Nordau między innemi na to, że zmarły niedawno lekarz czeski dr. Bulow w Winohradach koło Pragi, przez trzy lata niestrudzenie pracował nad wyświetleniem tajemnicy, okrywającej morderstwo, popełnione na Agnieszce Hruzównej w Polnie, i że ostatecznie udało mu się podobno zebrać dowody, iż Hülsner jest niewinny, a kto inny zamordował Hruzównę. Nordau wzywa tedy austryackiego ministra sprawiedliwości, ażeby na razie przedstawił Cesarzowi wniosek o ułaskawienie Hülsnera, bo nie można pozwolić na to, aby on siedział w więzieniu tak długo, aż prawda wydobyta zostanie na wierzch i on jako zrehabilitowany człowiek powrócony zostanie społeczeństwu. Niechaj więc na razie akt łaski monarszej otworzy Hülsnerowi wrota więzienne, a tymczasem procedura rewizyi jego procesu pójdzie swoim trybem i — jak zapewnia Nordau — musi w końcu doprowadzić do uwolnienia Hülsnera.

A zatem wedle propozycyi Nordaua, zastosowana ma być w sprawie Hülsnera zupełnie ta sama metoda, jaka doprowadziła do rehabilitacyi Dreyfussa, którego prezydent republiki ułaskawił pomimo potępiającego wyroku trybunału wojskowego w Rennes, a dopiero w kilka lat później najwyższy trybunał przeprowadził rewizyę jego procesu i wydał wyrok uniewinniający.

Prasa antysemicka zwraca uwagę na to uderzające podobieństwo postępowania międzynarodowego związku żydowskiego w sprawie Hülsnera a w sprawie Dreyfussa, przyczem podnosi, że widocznie przyjaciele Hülsnera liczą na to, że dziś, gdy minęło dziesięć lat od popełnienia morderstwa na Hruzównie, świadkowie, których zeznania przyczyniły się do zasądzenia Hülsnera nie będą już tak dobrze pamiętać wszystkich szczegółów jak przy pierwszej rozprawie, zatem nowa ława przysięgłych powinna wydać werdykt uniewinniający. W obec zaś twierdzenia Maxa Nordaua, że lekarz czeski Dr. Bulowa zebrał dowody niewinności Dreyfussa, reprodukuje tutejszy antysemicki *Deutsches Volksblatt* fotograficzną odbitkę listu, jaki tenże Dr. Bulowa pisał pod datą 28 kwietnia 1900, a w którym zachęca niewymienioną bliżej osobę, by wpłynęła na leśnego z Polny Mischingera, aby zeznawał na korzyść Hülsnera. W liście tym znajduje się między innymi taki ustęp: „Nie przyrzekam wprawdzie nic, gdyż nie wolno dawać świadkowi jakichkolwiek obietnic, ale to zobowiązanie przyjmuję na siebie, że każdego, kto mi pomoże do wykrycia prawdy, wezmę w obronę przeciw złośliwym ludziom i wedle sił pomagać mu będę w dalszem życiu. W szczególności mam nadzieję, że dla córek takich poczciwych ludzi potrafię wystarać się o posag, a dla synów o środki na kształcenie się“. Jestto zdaniem wspomnianego antysemickiego dziennika całkiem jawne werbowanie fałszywych świadków na korzyść Hülsnera.

Jak widzimy tedy, sprawa Hülsnera, o której już prawie zapomniano, wysuwa się coraz bardziej na porządek dzienny i to w sposób sensacyjny.

Najwyższy Trybunał kasacyjny wydał tymi dniami wyrok w zasadniczej sprawie, w której szło o rozstrzygnięcie pytania, czy nagadanie komuś impertynencyi przez telefon jest obrazą honoru w znaczeniu kodeksu karnego. Wypadek taki zdarzył się niedawno w Wiedniu. Pewien adwokat, rozmawiając przez telefon z kasyerką jednego z tutejszych zakładów kąpielowych, powiedział jej: „Jesteś pani bezczelna, bezwstydna osoba“.

Kasyerka zaskarżyła owego adwokata do sądu za obrazę honoru. Przy rozprawie powołał się adwokat na to, że wedle kodeksu karnego znamieniem obrazy honoru jest, ażeby ona wyrządzona była publicznie, wobec większej liczby osób, tymczasem rozmowa przez telefon nie jest wcale publiczną. Sędzia tymczasem stanął właśnie na całkiem odmiennem stanowisku, a mianowicie, że każda rozmowa przez telefon jest publiczną i skazał adwokata na 50 koron grzywny, ewentualnie 5 dni aresztu. Wyższy sąd zatwierdził ten wyrok, tymczasem generalny prokurator wniósł przeciw niemu zażalenie nieważności w obronie ustawy, gdyż nie podzielał poglądu sędziego, iż każda rozmowa przez telefon ma znamiona publiczności. Owóż najwyższy trybunał odrzucił to zażalenie i zatwierdził wyrok pierwszej instancyi, a uzasadnił to orzeczenie tem, że obraza honoru zachodzi nietylko wtedy, gdy ktoś trzeci istotnie usłyszy obraźliwe słowo, lecz wystarcza, aby obraza wypowiedziana była tak, iż trzecia osoba mogłaby ją usłyszeć. Właśnie zaś przy rozmowach telefonicznych zachodzi taki wypadek, iż trzecie osoby mogą usłyszeć obraźliwe słowa, a to zarówno osoby zajęte w stacyi centralnej jak i mające połączenie z aparatem właśnie używanym, dlatego też zasądzenie było zupełnie usprawiedliwione.

Co i o czem piszą.

Pan Wł. Bukowiński opowiada w *Nowej Reformie* swoje wrażenia z podróży do Fiume przez Węgry. Zachwyca się tedy uprzejmością węgierską, pięknością rasy madyarskiej, i doskonałą kulturą rolną w komitatach zaludnionych przez samych Węgrów. W zbożu nie żętem jeszcze widział wszędzie w węgierskich komitatach czerwone maki, natomiast w komitatach słowiańskich dużo rumianku. Owóż przypomina sobie przysłowie gospodarskie powtarzane często przez jego ojca, że: „gdy pszenica w maku, szlachcic chodzi we fraku; gdy zboże w rumianku, bywaj zdrów, kochanku“...

Opowiada dalej zachwyty nad Budapesztem i w końcu dojeżdża do Chorwacyi. Krajobraz — pisze on — zmienia się zasadniczo. Po prawej stronie na widnokręgu ukazują się błękitne zarysy gór, po obu stronach toru migają niewielkie lasy liściaste, to znów pędzimy w dalszym ciągu obok niw urodzajnych, ale przed sobą i z boku mamy wciąż błękitne widmo gór na horyzoncie, niby zapowiedź cudów, które niebawem ujrzymy. Zbliżamy się do stolicy Chorwacyi — Zagrzebia. Krajobraz jest znowu czysto słowiański. Zamiast murowanych domków, bielone chaty, pokryte słomą; w gospodarstwie rolnem znać niższą kulturę; typ słowiański zaczyna przeważać; napisy na stacyach, obok węgierskich, podają i nazwy chorwackie.

W malowniczem otoczeniu gór, na skraju doliny, rozsiadł się Zagrzeb, stolica Chorwacyi. Uderzają z daleka dwie strzeliste wieże katedry goty-

---

2)

Ostatni dzień skazanego.

Satyra na amerykańskie obyczaje.

(Dokończenie).

James Dux wyciągnął dłonie ruchem szlachetnym i z rąk mówcy otrzymał wspaniały chronometr złoty.

Wstrząsnął silnie zegarkiem i przykładając go do ucha, zapytał:

— Chodzi?

— O! yes! — zawołali jednogłośnie członkowie deputacyi.

— Nakręcony?

— Oh! yes!

— Zapłacony?

— Oh! yes!

— Naregulowany?

— Oh! yes!

— Bardzo ładny.

— Oh! yes!

Na tem skończył się szereg objaśnień; każdy członek z kolei ściskał rękę dzielnego Duxa, poczem deputacya oddaliła się dyskretnie.

Za chwilę wprowadzono drugą. Po wzajemnych ukłonach *prezydent* orszaku wygłosił do zbrodniarza mowę następującą:

„Kochany panie Dux, jestem bratem, te panie zaś i ci panowie, są bliskimi krewnymi lub serdecznymi przyjaciołmi Johna Brown, którego kilku uderzeniami młotka w nocy 30-go listopada roku zeszłego pozbawiłeś życia, dla zrabowania zegarka niklowego, wartości 5 dolarów. Na dowód, że nawrócenie pańskie przejmuje nas najwyższem uznaniem, przynieśliśmy ci nowy garnitur. Zrobisz nam zaszczyt, przywdziewając go jutro na ceremonię“.

James Dux chwycił łapczywie podany sobie pakiet, rozwiązał go i wyjmował kolejno tużurek, kamizelkę, spodnie, przyglądając się i macając sukno z wielkiem znawstwem.

— Wyrób angielski? — zapytał.

— Gwarantowany, czysta wełna — zagrzmieli chórem przyjaciele i krewni zamordowanego.

— Modny?

— Według ostatniej mody.

— Guziki mocno przyszyte?

— Bardzo mocno.

Nagle rozległo się tłumione łkanie.

Płakała w kąciku wnuczka Browna, która straciwszy oddawna rodziców, po śmierci dziadka znajdowała się sama na świecie.

— Oh! panie — mówiła przez łzy — pan, który wyglądasz na tak dobrego człowieka, jak mogłeś zabić dziadunia?

— To jego wina — odparł James dobrodusznie — tak się produkował z tym zegarkiem — co chwila wyjmował go z kieszeni, aby zobaczyć która godzina, nawet gdy zegary miejskie biły jednogłośnie. Mogło to zirytować najcierpliwszego człowieka. Chciałem też oduczyć go od próżności. Gdyby nie to, zginąłbym raczej z głodu, niżbym pomyślał o takim rabunku.

— Rodzina Brownów miała zawsze słabostkę do klejnotów — odezwała się jedna z dam, prezydentka „Stowarzyszenia opieki nad nawróconymi zbrodniarzami“. — Biedny człowieku — ciągnęła dalej, zwracając się do Duxa. — Giniesz jako ofiara tej próżności naszego krewniaka. Czasby już było wreszcie uchwalić ustawę wzbraniającą kobietom noszenia dyamentów, a to, aby uchronić od pokusy przechodniów na ulicach.

— Słuszny wniosek — zawyrokował pan Antropofil, sekretarz Stowarzyszenia. — Co do mnie, twierdzę, że wszystkiemu winien Brown i że zasłużył w pełni na to, co go spotkało. Czy zechcesz panie Dux, udzielić nam bliższych szczegółów o tym wypadku? Racz nam opowiedzieć, kiedy i w jaki sposób przyszła ci myśl pozbycia się tego pyszałka? Czy wiele cierpiałeś przed odebraniem mu tego klejnotu?

— Och! okropnie. Ból był nie do zniesienia. Widząc, że wyjmuje zegarek, pomyślałem, że urąga mnie, biedakowi, pozbawionemu czasomierza. A obywatel wolnego państwa nie może pozwolić na podobne drwiny.... Najprzód doznałem takiego uczucia, jak gdyby mię żgnięto w brzuch, potem ociężałość w nogach i w głowie. Walczyłem ze sobą, chciałem nawet uciec, lecz wola moja była tak słabą wobec doznawanego cierpienia! Gdym odzyskał przytomność ujrzałem się z młotkiem podniesionym na człowieka, który mnie znieważył. Ha! trudno, stało się i nie odstanie, zresztą przebaczyłem mu już....

— Biedny człowieku! — zawołały kobiety, przejęte najtkliwszem współczuciem.

— Przyjmij pan tę portmonetkę! — prosiła jedna.

— I ten flakonik z solami — dodała druga.

— I te krople. Niema nic lepszego na astmę — mówiła trzecia.

Dux brał wszystko. Podarki znalazły się niebawem wśród stosu bukietów, w kącie sali.

Jakiś żebrak z twarzą wygłodzoną, schorowaną, wyrywał się z rąk kilkunastu osób, nadzwyczaj wzburzonych.

— Mam go, mam — zapiszczał wreszcie jakiś głos. — Ten nędznik chciał ukraść pasztet, przeznaczony dla pana Duxa.

— *Gentlemen, ladies* — błagał nieszczęśliwy, dysząc z trudnością — od dwóch dni nie miałem nic w ustach. A Bóg mi świadkiem, żem nie splamił się nigdy zabójstwem.

Wyrzucono go za drzwi.

Służący murzyn oznajmił, że obiad dla p. Duxa już podany.

Zebrani przeszli do sali jadalnej dyrektora więzienia, który uprzejmie pożyczył na tę ucztę kucharza i całą zastawę stołową.

Skazaniec usiadł na pierwszem miejscu. Po prawicy miał sędziego Blackstone, po lewej ręce prokuratora. Słynny pastor sekty baptystów odmówił modlitwę, czyniąc w niej dyskretne aluzye do jutrzejszej ceremonii.

Dux jadł i pił, co się zmieściło.

Przez cały obiad był w jaknajlepszym humorze, wzbudzając wciąż zachwyt wśród współbiesiadników.

Pomiędzy jednem daniem a drugiem, kapela kościoła wykonała kilka wspaniałych kwintetów.

Wreszcie po lodach przyszła kolej na toasty.

Oto najkrótszy z nich, a zarazem najwykwintniejszy. Wygłosił go brat zamordowanego, Jerzy Brown:

„*Gentlemen* i *ladies*.

„Drogi nasz i *nieodżałowany* James opuści nas niebawem. Z całego serca mu życzymy, aby chwila tego *rozstania* była jak najkrótszą i o ile możności jak najmniej bolesną“.

Dux powstał i zaczął w te słowa:

„*Ladies* i *gentlemen!*

„Chwila obecna jest najsłodszą, jakiej doznałem kiedykolwiek. Czyżem mógł przypuszczać, gdym stawiał pierwsze, tak trudne kroki, na drodze mojej profesyi, że kiedyś będę miał zaszczyt być przyjętym do tak czcigodnego towarzystwa. Śmierć Browna — niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą — uczyniła ze mnie innego zupełnie człowieka. Po wysłuchaniu potępiającego mnie wyroku, uczułem się odrazu lepszym, szlachetniejszym. Szczerze wyznaję, do owej chwili żyłem, nie znając wcale głębokiej rozkoszy, jaką nam sprawia spokój duszy i szlachetność myśli. Zrozumiałem to dopiero po spełnieniu czynu, za który mam jutro być powieszony. Och! przyjaciele! życzę wam, abyście wszyscy byli tak cnotliwymi, jako ja w tej chwili. To rozkosz, powtarzam, czuć się dobrym, módz czytać traktaty religijne i zajadać kurczęta. Szczęście usposabia mnie do pobłażliwości względem tych wszystkich, którzy wzięli udział w zbrodni, jakiej będziecie świadkami jutro, to też nie chowam urazy do nikogo. Gdyby mnie ułaskawiono, nie dotknąłbym palcem żadnego żywego stworzenia.

„Lecz niema o czem mówić. Jutro zrobię lepszy „business“, niż najszczęśliwsi aferzyści na tym padole płaczu. Jutro, będę w towarzystwie świętych, proroków i aniołów, wszechwładniejszych niż sam Prezydent Stanów Zjednoczonych, w swoim Białym Domu. Wówczas, z wysokości nieba, gdzie pozyskam jedną z najlepszych posad, rzucę okiem współczucia na was, nędznych śmiertelników. Podczas gdy ja nurzać się będę w chwale, wy walczyć będziecie ze złemi skłonnościami, aby po długiem życiu pracy i obowiązku pozyskać wątpliwe zbawienie.

„Dlatego to, w przeddzień dostania się w poczet błogosławionych, chętnie przebaczam wszystkim, co mnie skrzywdzili: przebaczam sędziom, przebaczam przysięgłym, przebaczam świadkom, którzy podstępnemi zeznaniami sprowadzili ów werdykt. Przebaczam wreszcie Jerzemu Brown, pierwotnej przyczynie złego. W sercu mojem nie pozostaje ani kropli żółci“.

Zebrani płakali rzewnemi łzami.

— To święty — szepnął pastor baptystów.

Sędzia, siedząc przed czterema butelkami kalifornijskiego Cliquota, ukrywał pod serwetą zaczerwienione powieki.

W chwili, gdym po pożegnalnej uczcie opuszczał salę, *clergyman* (pastor) wszystkim tym, którzy zdołali otrzymać miejsca na egzekucyę, zalecał gorąco, aby przyprowadzili ze sobą dzieci.

— Widok tego sprawiedliwego — mówił — wleje w serca młodociane więcej namaszczenia i zapału, niż słowa najwymowniejszych kaznodziejów.

KONIEC.

ckiej. Miasto ma wygląd czysty i miły, ale nie jest duże. Przypomina z odległości jakiś nasz Lublin lub Tarnów. Pociąg pospieszny zatrzymuje się tu 21 minut, jedyny dłuższy postój w tej podróży. Mamy czas przejść się chwilę po peronie dla wyprostowania kości, zjeść coś naprędce, a nawet wysłać kartę, mającą o całą dobę wyprzedzić nas na Capri. Do Chorwatów mówię po polsku, oni do mnie po chorwacku i jakoś się rozumiemy. Lecz po niedługim czasie chorwacki Zagrzeb zarysowuje się znów malowniczo na tle gór, tym razem za nami już, a po chwilach kilku nikną nam z oczu, jak miraż. I tak wszystko w podróży koleją. Jest się z konieczności ptakiem, przelatującym lotem strzały krainy całe, zatrzymującym się tylko na parę chwil wytchnienia i pędzącym dalej — bezpowrotnie.

Około czwartej popołudniu wjeżdżamy w krainę skalistą. Między skałami wije się w pobliżu toru zielona zupełnie rzeka. Góry, które widzieliśmy przedtem z prawej strony toru, zalegają kraj cały dokoła; jesteśmy znowu w zaczarowanym świecie wiaduktów, przepaści, tunelów. Góry są zarośnięte drobnym lasem lub krzewami, to znów z obu stron toru piętrzą się skały nagie; elektryczność w wagonach nie gaśnie. „Cameral Moravitze, Komerska Moravica" woła konduktor, a po chwili pędzimy dalej i dalej, wpadając z tunelu w tunel, przebiegając krainę coraz dzikszą. Drobny las liściasty, podszyty mnóstwem paproci, przeplatają teraz nagie usypiska z głazami pośrodku, wyglądające z daleka jak zdarte ze skóry i obnażone piersi wielkoludów. Chwilami otwiera się widok przecudowny na rozległą panoramę górską; pociąg wspina się gdzieś wysoko, jakby chciał dotrzeć do chmur; daleko pod nim rozciągają się doliny malownicze, niby szmaragdy olbrzymich górskich pierścieni; od lasu coraz większego bije przecudowna woń.

Droga jest po prostu prześliczna. Pociąg, jak wąż olbrzymi, wije się szczytami gór, znikając co parę chwil w czarnych otworach „chodników". Gdzieś pod nami bielą się drogi kręte, wykute w szczerej skale, niżej jeszcze doliny, wioski, miasteczka; my unosimy się ponad tem wszystkiem, nie mogąc się oprzeć złudzeniu, że naprawdę dostaliśmy skrzydeł.

Główny urok tej drogi stanowi chyba połączenie przepięknych krajobrazów górskich, pełnych zieleni, wiosek i domków, krów, owiec i pasterzy, przypominających naszych górali, z pełnemi grozy i martwoty nagiemi skałami i usypiskami, wywierającemi wrażenie jakiegoś przedsionka piekieł. Olbrzymie głazy o kształtach fantastycznych wydają się chwilami zaklętemi tworami z baśni.

Wśród skał coraz dzikszych zbliżamy się pod wieczór do morza. Młody Węgier zapewnia nas, że je za chwil parę ujrzymy. Wyciągam głowę — napróżno; po obu stronach toru wznoszą się wciąż ściany kamienne. Patrzę jeszcze uparcie chwil parę, choć nie pierwszy raz zbliżam się do morza, nie mogę się oprzeć wzruszeniu. W tem — nareszcie! lazurowo-granatowy cud błysnął między górami; znika jeszcze, aby ukazać się znowu i towarzyszyć nam już przez ostatnie pół godziny drogi aż do Fiume. Zatrzymujemy się w Plasę, ostatniej stacyi przed Fiume. Przed oczyma raz jeszcze rozlega się krajobraz nowy; na wzgórzach nadmorskich, między skałami, wznosi się mnóstwo domków, tonących w jasnej zieleni winnic, a dalej już tylko bezbrzeżna lazurowo-granatowa płaszczyzna morza. Od dłuższego czasu pociąg spuszczał się z góry, teraz mija jeszcze Porto Re, Tersato i nareszcie o zachodzie słońca staje zdyszany u celu całodziennej podróży — w madziarsko-chorwacko-włoskim Fiume.

Gmina komunistów.

W Ameryce północnej, w stanie Jowa, istnieje od roku 1854 komunistyczna gmina, licząca obecnie przeszło 2000 członków i posiada jako wspólną własność 25.000 akrów (12.000 morgów polskich). Nie wytworzyło wszakże tego stowarzyszenia życie, ani potrzeby socyalnych reform, lecz powstało ono na tle religijnem. Ideę wspólności dóbr chciało przeprowadzić w praktyce pewne grono mieszkańców Hessyi i utworzyć osobną sektę religijną, która odrzucała wszystkie formy, nawet zwykły chrzest, a przyjmie tylko „chrzest ognia i ducha". Nieuznani w ojczyźnie, podążyli do Stanów Zjednoczonych.

Stowarzyszenie to nosi nazwę Amanistów, sprawami jego kieruje 13 „starszych", których obierają rok rocznie z pośród najstarszych członków. „Starsi" znów wybierają z pośród siebie przełożonego. Każdy nowo wstępujący członek musi oddać do wspólnej kasy cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, nie zostawiając dla siebie nic. Oprócz tego zobowiązuje się pracować tylko dla dobra gminy, nie dla siebie, a w zamian otrzymuje oprócz wolnego mieszkania, jedzenia, odzieży zapewnionego utrzymania w razie choroby, starości lub kalectwa — pewne stałe wynagrodzenie dla siebie i rodziny stosownie do uznania trustees, czyli starszych. Starsi rozdzielają pomiędzy członków zajęcie, uwzględniając przytem ich umiejętność, zdolności, a nawet osobiste życzenia. Gmina zajmuje się głównie uprawą roli i hodowlą bydła; prócz tem znane z dobroci jest ich tkactwo i przędzalnictwo. Prócz tego są tam garbarnie, tartaki, młyny, drukarnia, wszystko w mikroskopijnych rozmiarach. — Żaden z członków nie jest zobowiązany do ciągłego pozostawania przy jednem i tem samem zajęciu. Starsi pilnują, dozorują i wedle swego uznania wyznaczają pensyę, lecz nie pieniężną. Pieniądze nie istnieją bowiem u amanistów. Każdy członek otrzymuje na początku roku książeczkę na potrzebne przedmioty i idzie z nią do sklepu gminnego.

Domy są wspólną własnością, wszystkie zbudowane na jeden sposób, a zarząd wyznacza mieszkania. Domki te są otoczone ogródkami, zbudowane po obu stronach szerokiej, prostej ulicy. Wszyscy jadają razem we wspólnych jadalniach, gdzie wzorowa panuje czystość dzięki staranności rąk kobiecych. Kobiety, wyznaczone na ten posterunek, zajmują się na przemian to gotowaniem, to nakryciem stołu, to myciem itp. W każdej części wsi jest rzeźnia i ta tylko dostarcza mięsa do głównego magazynu, skąd je wydzielają do jadalni. Tak samo dzieje się ze zbożem. Gdy amanista zachoruje, wyznaczają mu zaraz lekarza, a gminna apteka dostarcza lekarstwa, ma się rozumieć wszystko darmo. Gdy młody człowiek chce się żenić, gmina wyznacza mieszkanie już urządzone, a żona wnosi w dom wyprawkę taką samą jak każda inna dziewczyna z gminy.

Równość ta jest jednak pozorną i odnosi się tylko do potrzeb codziennego życia. Zaraz przy początkach organizowania gminy okazało się, że jej poszczególni członkowie rozumieli równość bardzo nierówno, i założyciele postanowili zapobiedz temu utworzeniem... kast. Mianowicie podzielili społeczeństwo, stosownie do zasług w ich pojęciu zrozumianych, na osobne klasy. Do pierwszej należy 84 starszych, oraz starzy kawalerowie i stare panny (ogromna ilość jednych i drugich) uważani za świętych, bogobojnych, ponieważ wyrzekli się małżeństwa, co jest uważane w Amanie za szczyt doskonałości. Do drugiej klasy należą ci małżonkowie, którzy już nie mają dzieci — „chcą odzyskać czystość utraconą" teraz, gdy przeszła siła namiętności. Póki w małżeństwie rodzą się dzieci, należą małżonkowie do klasy trzeciej, w której są także kandydaci i kandydatki do stanu małżeńskiego, oraz dzieci. Chociaż w Amanie niechętnie patrzą na małżeństwo, a narzeczonych skazują na lata próby, czy wytrwają w miłości, to jednakże większość Amanistów żeni się, i dlatego pomalutku wzrasta liczba ich wyznawców.

Za przewinienia degradowano członka do kasty niższej, a gdy się kto zasłużył gminie, promowano go wyżej. Jeżeli np. lekarza Amanistę wezwano do chorego poza granice gminy, a on nie oddał do wspólnej kasy wszystkich zarobionych pieniędzy, albo jeżeli ktoś nie zadowalał się wyznaczonym dochodem, w takim razie przenoszą go starsi do niższej kasty. A przeciwnie, uhonorowanie czeka np. tego, kto zaoszczędził cokolwiek na „wymiarze" i oszczędność tę przekazał kasie gminnej. Z tej oszczędności urządzono pewną specyalną własność pojedynczych członków, tj. wolno członkowi dysponować oszczędnością swoją.

Tu więc wystąpiła bardzo szybko druga nierówność. Jeden za oszczędności kupił sobie bibliotekę, inny zabawki dla dzieci i wzbudzał zazdrość w tych, którzy tego nie mieli. Zarząd więc, chcąc temu zapobiedz, rozporządził, że wolno kupować za te oszczędności tylko w gminnych sklepach, a tam znów były na składzie jedynie rzeczy niezbędne do codziennego życia, z surowem wykluczeniem takich przedmiotów, jak zabawki, książki, wszystko to bowiem jest uważane za przedmiot zbytku. W sklepach gminnych nie ma żadnego dzieła sztuki, żadnej ozdoby kobiecej, najmniejszego klejnociku, oko bowiem komunistycznego Amanisty nie powinno oglądać nic takiego, coby w jakikolwiek sposób obudziło w nim zazdrość. To też ubiór Amanistów jest szablonowo równy i zupełnie taki sam, jakim był w czasach, gdy tu przywędrowali z Hessyi.

Amanista rozumie to dobrze, że ktoś, co zazna w całej pełni swobody, wolności życia w Stanach Zjednoczonych, nie może czuć się szczęśliwym jako członek ich gminy. Dlatego postarali się jak najbardziej odosobnić, zamknąć w tym zgromadzonym małym światku, a dla lepszego osiągnięcia tego celu używają w życiu potocznem tylko języka niemieckiego. W szkołach uczą się wprawdzie po angielsku, gdyż tego wymaga rząd, ale prawie nikt z pośród nich nie włada biegle językiem angielskim.

A teraz pytanie bardzo ważne: Czy ludzie ci czują się szczęśliwymi? Zapytany amanista odpowie, ma się rozumieć, że tak, bo dlaczegóżby należał do gminy? Lecz sam wygląd tych ludzi, zawsze smutnych, sunących powoli, z oczami, wlepionemi w ziemię, budzi wątpliwość co do tego ich szczęścia. Turyści, którym było dane przyjrzeć się ich życiu, powiadają, że mieli zawsze uczucie, iż znajdują się na cmentarzu, a nigdy nie widzieli, aby ktoś tam się kiedy chociażby uśmiechnął. Tych ludzi nic nie zajmuje.

Pochłania ich apatya zawsze — czy to na ulicy, czy w domu, czy przy pracy. A zwłaszcza obserwować ich trzeba przy pracy. Robią, jak bezduszne automaty, którym brak bodźca, podniety. Ci ludzie wogóle prawie zawsze milczą, a gdy mówią, to zwykle o przedmiotach „wiary". — „Wiarę" mają ciągle na ustach, a jeśli ktoś wyrazi swe powątpiewanie co do możliwego zadowolenia z takiego rodzaju życia, odpowiadają melancholicznie: „Tak, na to trzeba mieć wiarę!" „Bez wiary nie można!" „Do tego trzeba silnie wierzyć!" I zawsze tylko w kółko to samo.

Jeden z socyologów amerykańskich, zastanawiając się nad tymi ludźmi, dochodzi do wniosku, że „dzięki nienormalnym warunkom życiowym, stali się też nienormalnymi. Oni niczego dobijać się nie potrzebowali, nigdy nie walczyli dla zdobycia kawałka chleba, wygód, dostatków, dostojeństw dla siebie lub ukochanej rodziny. Życie to walka, a amaniści jej nie znają. Zatem życie ich nie jest normalne, to nie szczęście, to dobrowolne wyrzeczenie się wszystkiego dla miłego spokoju w martwocie. To żyjące trupy!

„Zdarzały się wypadki, że ten lub ów członek gminy wypisał się z niej, poszedł w świat zakosztować normalnego życia, walki. Lecz wygoda, apatya, do której przywykł w gruncie, już w nim były zabiły całą energię, już był niezdolny stanąć z drugimi w bojowym szeregu i samemu sobie wywalczyć istnienie. Po pewnym czasie powracał do gminy, wchodził jako dawne kółko do tego bezdusznego kieratu i wegetował dalej dla miłego spokoju, życia bez troski.

W ciemnicach paryskich katakumb są pająki bez ócz. Z pokolenia na pokolenie nie potrzebowały wzroku i dlatego nastąpił z czasem zanik tego im niepotrzebnego organu. Komunistyczni amaniści to także w tym samym rodzaju istoty zwyrodniałe. A więc komu niemiła swoboda ducha, kto energię życiową zatracił lub ją chce zatracić w bezmyślnym deptaku, kto przez życie całe chce jak niemowlęta być wiedziony na pasku partyjnych dążności, niech idzie w komunistyczne szeregi, a potomkowie jego zrodzą społeczeństwu takie takie ślepe pająki.

Mały feljeton.

Z poezyi „Młodych Niemiec".

Ryszard Dehmel.

NOTTURNO.

Błagalna pieśń, jego smyczka ciąg,
zmęczona nocą łkała w mgle,
żem oto ocknął, pogrążony w śnie.
O jakże jasnym nagle czyni się,
jasnym i czystym
i uroczystym,
sen, co był tajnią spowit w krąg. — —

Księżyc wysoko — — śnieżne pole
blade i puste wokół nas —
lęk na mą duszę padł by głaz,
gdyż obok mnie stężała, dzika,
jaką znam życia mego dolę,
spełniając mą gorącą chęć,
siedzi i czeka... Śmierć — —

I oto przybył, jako ongi miły,
cichy i znużony,
w noc, z dalekiej strony,
pełen tęsknicy,
drżący oddech skrzypiec, a z nim się zjawiły
rysy przyjaciela w mrokach tajemnicy — —

Ongi w więzy spowił mnie
i wzburzył młodość mą,
że serce me się tęsknie rwie,
że tęskność, tę bez celu, zna —
i oto w głuchej pustki mgle
cień stoi smutnie — uroczysty,
ani mnie widzi, ani wita,
jeno pozwolił, by ton czysty
płynął, by skarga ta rozbita —
a na mnie jeno z pustki woła
z jego czoła,
gdyby oko krwią czerwone,
skrzepła rana — — —

I smutniej płynie smutna pieśń —
żarna, rośnie wciąż i płynie,
i jest ninie
jako życie, bez miłości,
jako miłość, żądna życia
i pełni szczęścia użycia — —
bólem jedynie
sytna, wirem zda się płynie,
pieśń burzliwa — pędzi rwie,
a potem cicha, krwawiąc, mknie
i wpływa w cieśń
bieli śniegów, krwią wezbrana,
jako jego czoła rana — —

Wolniej gra znużona ręka,
a przedemną staje
blady dzień,
dawny, mej młodości dzień — —
druha męka
na śnieżne zwala wyraje,
bowiem tęskność jego była
za wielką w bolu nadmiarze,
i smutku go groźna siła
śmiercią karze — —
i głośniej łka jego pieśń,
jako śmierci krzyk, tak płynie,
a jego czoło krwawi
i płacze też,
a płacz ten w duszy mojej ginie,
jakbym miał wchłonąć w duszy cieśń,
radość, że cierpię,
czucie, że cierpię,
jakbym miał odczuć życia nędzę,
co rwie Szczęśliwości przędzę — —
a cień, brocząc krwią, przepada
w bladej nocy — —

Czuję drżący, że ucieka
jego pieśń, że słabnie, ginie — —
do mnie płynie
już li nikłych tonów rzeka,
i czuję zimny jakiś wiew,
co lękiem mrozi krew,
powietrze, zda się, drży,
i pragnę ujrzeć ją wśród mgły,
jako czatuje
i w mą dolę się wpatruje —
patrzę — — ale pustką szły
me oczy, pustką śnieżną —
Śmierć odeszła w dal bezbrzeżną — —

Księżyc wysoko — — pieśń znużenia
wpłynęła w pustą noc,
jej błagań zcichła moc,
w ciszę się zmienia
zmarłego druha łkanie — pieśń — —
i szczęśliw przytomnieję — — —

Przełożył *Adam Stodor.*

Wypadki w Rosyi.

Petersburg. *Nowoje Wremia* donosi, że niebawem w. ks. Mikołaj Mikołajewicz zostanie mianowany głównodowodzącym gwardyi i całej armii w miejsce dotychczasowych głównodowodzących poszczególnych broni. Nowa ta posada nie będzie miała charakteru dyktatury, gdyż ministerstwo wojny zachowa swe czynności administracyjne.

Petersburg. Petersb. Agencya upoważniona jest do oświadczenia, że nieprawdziwe jest doniesienie dziennika *Now. Wremia* o mającem nastąpić utworzeniu stanowiska generalissimusa armii i gwardyi i desygnowaniu na to stanowisko W. ks. Mikołaja Mikołajewicza.

Kijów. W miejscowości Granowa chłopi obili byłego posła do dumy, gdyż nie mógł im dać dostatecznego wyjaśnienia, dlaczego duma została rozwiązana.

Sebastopol. Z powodu kradzieży aktów śledczych proces przeciw drugiej grupie oskarżonych o udział w buncie wojskowym ubiegłej jesieni opóźni się o 6 miesięcy.

Petersburg. Według *Rusk. Słowa*, w wyższych sferach społeczeństwa rosyjskiego postanowiono przenieść zwłoki wszystkich dygnitarzy, którzy padli ofiarą zabójstw politycznych, do wspólnej mogiły. Toczą się w tej mierze rokowania z przedstawicielami pewnej firmy pogrzebowej.

Wilno. Do drukarni Garbera wpadło 10 ludzi uzbrojonych; związali właściciela, wydrukowali jakieś kartki i znikli.

Petersburg. Gubernator petersburski Zinowjew wydał odezwę do ludności pod tytułem: „Czego się powinna ludność spodziewać od reprezentacyi narodowej?" W odezwie tej gubernator powiada, że reprezentacya narodowa i wszystkie niezbędne reformy dane zostały Rosyi z woli cara. Niektóre z zapowiedzianych reform zostały wprowadzone jeszcze przed zwołaniem dumy, co się zaś tyczy pozostałych reform, to rząd przystąpił już do prac przygotowawczych. Z obawy zarzutu wywierania nacisku na wyborców, policya i inne władze nie przeszkadzały gorliwej i wszędzie rozwiniętej działalności kadetów, a gdzieniegdzie i socyalistów.

Car nazwał przedstawicieli ludu najlepszymi ludźmi i powołał ich do odnowienia moralnego oblicza ziemi rosyjskiej. Duma w odpowiedzi na mowę tronową zażądała zmiany praw zasadniczych, zniesienia rady państwa, utworzenia ministeryum odpowiedzialnego przed dumą, a nie przed monarchą. Pomijając to milczeniem, że najgłówniejsze reformy były już postawione na porządku dziennym przez cara, Duma w formie adresu na mowę tronową przywłaszczyła je sobie. Do tych żądań duma dodała zupełną amnestyę dla przestępców politycznych, zabójców, rabusiów, zniesienie kary śmierci nawet dla królobójców, oraz przymusowe wywłaszczenie wszystkiej ziemi.

Polityczna niewiasta.

(Rosyjska satyra.)

Pani Pamela miała wszystko: wysmukłą kibić, szafirowe oczy bezdenne, piękne rysy, cerę białą, pieniądze i męża ze stanowiskiem. Brakowało jej wrażeń czegoś... czegoś... powiedziećby nie umiała, było bowiem jakieś łotne, nieuchwytne, mgliste, ale nadzwyczajne... Zdawało się jej, że nikt nie zdołał dotąd zrozumieć i odczuć tych pragnień. Życie toczyło się dokoła powszednie, nie chciało nic niezwykłego stawić przed oczyma pięknej kobiety. Śniła o przygodach wzruszających, w których mogłaby okazać głębię swoich uczuć i skarby swojej duszy. Brała się do wszystkiego. Spraszała do swego, niestety, niezbyt wykwintnie przyozdobionego salonu, artystów i literatów, zachwycała się deklamacyą, muzyką, śpiewem, próbowała nawet okazać rany swojej duszy pewnemu dzielnemu publicyście, który napisał płomienny artykuł o poświęceniu dla dobra publicznego i o męztwie cywilnem, a dowiedziawszy się, że Japończycy są estetykami, jakich świat jeszcze nie widział, kupiła kilka drobnostek spiżowych i kakemono wzorzyste, zawiesiwszy je pomiędzy bukietem kwiatów woskowych, stojących pod szklanym kloszem, a portretem własnym w zielonej błyszczącej ramie.

Nic z tego wszystkiego. Artyści, literaci, publicyści, jedli i pili, jak ludzie zwyczajni, i żaden nie objawił jasnowidzenia co do piękności i tęsknot duszy pani Pameli. Publicysta, grubianin, wprost na wyznania jej oświadczył:

— Nic nie robi pani, nic nie umie i nic nie kocha i dlatego w duszy ma pustkę, którą musi tęsknotami zapełniać..,

A stary wujaszek, znany ztąd, że stracił majątek w Paryżu za czasów drugiego cesarstwa, mawiał rubasznie:

— Moja droga, trzeba umieć się bawić. Na twojem miejscu cobym ja nadokazywał, cobym nadokazywał!...

Milczał jednak stary, gdy, zaciekawiona temi uwagami, zapytywała go o wskazówki bliższe:

— Sama znajdziesz — mawiał — miej tylko nieco odwagi...

I kto wie, czyby pani Pamela nie zdobyła się na odwagę, zwłaszcza, że nadarzała się po temu sposobność — taka zwyczajna, powszednia sposobność, gdyby los, dbały zawsze o dusze wybrane, nie nastręczył istotnej nadzwyczajności.

Wszystko zawrzało dokoła. Słychać było wciąż o wiecach, uchwałach, zamachach. O tem tylko mówiono, i pani Pamela zaczęła czytać gazety, a wkrótce pochłaniać je chciwie. Do pustek jej duszy zajrzała rewolucya rozczochrana, wyzwierzona, szalona. Tu i ówdzie w kłębowisku wypadków widniała postać kobiety — kapłanki czy wróżki rewolucyjnej, czasem (tu silniej uderzało nieco już otłuszczone serduszko pani Pameli) kochanki jakiegoś spiskowca.

I pani Pamela czekała... Czuła, że przecie jej nic nie brak do nadzwyczajności... W marzeniach widziała siebie obok jakiegoś ognistego młodzieńca, który „jedną ręką niósł pochodnię pożaru społecznego, a drugą przyciskał do serca ją, panią Pamelę, wybraną, natchnioną, obdarzającą go skarbami niewyczerpanej duszy"...

Przypadek nie jest tak bezmyślny, jakim chcą go mieć niektórzy filozofowie i niefilozofowie: pomaga zwykle każdemu pragnieniu gorętszemu, każdej dążności wytrwałej.

Było lato. Pani Pamela wybrała się w odwiedziny do znajomych, mieszkających w podmiejskiem letnisku. Trochę bała się. Chodziły wieści, że odbył się tam wiec rewolucyjny, że obok w fabryce olbrzymiej ruch wśród robotników wzmógł się niesłychanie, że kogoś zabito, że sprowadzono kozaków i owe „kulotryski" — straszne jakieś narzędzia, od których ludzie giną tysiącami...

Przedział wagonowy świecił pustkami. Pani Pamela stanęła przy oknie i patrzyła na fabryki i kominy, na pola kapuściane, na łąki błotniste i na szereg willi, ustawionych wśród małych ogródków jedna przy drugiej, jak szereg trumien większych i mniejszych...

Na pierwszej stacyjce do przedziału weszło dwóch ludzi. Jeden starszy, szpakowaty, o jasnych wypłowiałych oczach, drugi młody, w czerwonej jedwabnej koszuli, rozwichrzonych włosach i śmiałem, bezczelnem niemal spojrzeniu.

— Bądź ostrożny... — rzekł starszy szeptem — śledzą. Wiesz, ten w okularach...

Szept stawał się coraz cichszy. Obaj wyszli na peron, rozejrzeli się dokoła, kiwnęli sobie głowami, poczem młodszy wskoczył do wagonu. Pociąg ruszył dalej.

Pani Pamela przyglądała się przybyszowi, który zwrócił widocznie na to uwagę. Usiadł naprzeciwko i wprost w oczy zajrzawszy towarzyszce podróży, zapytał:

— Dokąd jedziecie? Do Wiórgi?... Ja także. Palicie papierosy?... Nie. Szkoda...

Zagadnięta pomyślała, że istotnie szkoda. Oto oni, ci ludzie „prości", nie oglądający się na konwenanse, a wywracający państwo i społeczeństwo. Muszą obawiać się wciąż, unikać szpiegów, drżeć o każdą chwilę życia, a tak sobie nic z tego nie robią! Jeżdżą, palą papierosy...

Czując, że budzi ciekawość pięknej podróżniczki, która życzliwem nań spojrzała okiem, młodzieniec prawił dalej:

— Tyle naszego, co dziś. Bierz, co się da, bo niewiadomo, co czeka cię jutro. Oj, życie nasze, życie!... Ale dziś pohulam... Ładna z was kobietka...

Pani Pamela zaczerwieniła się. Nikt nigdy nie przemawiał do niej w ten sposób. Poprostu, otwarcie, śmiało. Tak mówić mogą tylko ludzie nowi, niezepsuci przez obłudę towarzyską, ludzie czynu.

— Znacie dużo kobiet? — zapytała — czy biorą udział w sprawie?...

Młodzieniec spojrzał nieco zdziwiony. Niezrażona ciągnęła dalej:

— Nie ukrywajcie się. Zrozumiałam od razu, że jedziecie do Wiórgi nie dla zabawy. Tam rewolucya wre. Czuję, że nastąpi wybuch, aż armia robotnicza pójdzie na kozaków z czerwonym sztandarem i z tą pieśnią, której dźwięki walą mury Jerychów nowożytnych.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— To pani taka! — wykrzyknął, i po chwili.
— Pani także tam?...

Pani Pamela tłómaczyła się jak mogła. Nie miała dotąd sposobności wejść w stosunki bliższe z ruchem rewolucyjnym. Podziwia ludzi poświęcenia, marzy o nich, pragnie zajrzeć w ich dusze, mając sama w duszy tęsknotę...

Mówiła długo, i nie zauważyła, że młodzieniec ujął już jej rękę i trzymał w swojej. Wzdrygnęła się dopiero w chwili, gdy odważył się otoczyć jej kibić. Zerwała się na równe nogi, odtrącając zuchwalca, i skierowując się ku drzwiom przedziału.

Zagrodził jej drogę. W oczach miał błyski niezwykłe. Porwał wpół onieprzytomniałą kobietę, i ujrzała naraz tuż nad sobą dwoje oczu błyszczących i usta, szukające pocałunku... Odwróciła twarz...

Na korytarzu rozległy się kroki. Młodzieniec puścił panią Pamelę i zasiadł znowu naprzeciwko. Konduktor wszedł, pytając o bilety. Pociąg zbliżał się do Wiórgi... Pani Pamela milczała.

— A! przeszkodził nam — mówił rewolucyonista — ale może zobaczymy się w Wiórdze. Pamiętajcie o mnie!...

Zeskoczył z wagonu przed zatrzymaniem się pociągu. Pani Pamela drżała jak liść. Machinalnie szukała okiem po peronie twarzy znajomych, do których wybrała się w gościnę, potem usiadła na ławce i spostrzegła się, że pociąg odszedł, że peron opustoszał, dopiero wtedy, gdy kilkakrotnie przesunął się przed nią, bacznie jej się przyglądając, jakiś niemiły jegomość w okularach. Wstała, zmierzając ku dorożce jedynej, pozostałej przed dworcem, i przy wsiadaniu, rzuciła woźnicy adres. Jegomość w okularach szukał tuż obok drugiej dorożki.

Znajomych w domu nie zastała. Wszystko, nawet furtka do ogrodu, było zamknięte. Oglądnęła się dokoła bezradnie. Siedzący pod willą sąsiednią stróż objaśnił ją, że państwo wyjechali, że służbie dali urlop parudniowy, że nie wie, kiedy wrócą. Dorożkarz odjechał. Znalazła się w pustej ulicy. Nakreśliła parę słów na karcie, oddała ją stróżowi, i znużona, nieochłonięta z wrażeń, szła zwolna ku dworcowi...

Na skręcie drgnęła. Spotkała się oko w oko z towarzyszem podróży. Rewolucyonista uśmiechnął się:

— Cóż, miła pani? — zagadnął ją po przyjacielsku, zdradzając zamiar towarzyszenia jej w drodze.

— Nie zastałam znajomych; muszę wracać do siebie. Żegnam pana.

Chciała przyspieszyć kroku, ale rewolucyonista nie opuszczał jej.

— Pociąg pójdzie za godzinę. Trzeba czekać. Chodź, pani, do parku. Do wieczora nie mam nic do roboty. Przejdziemy się.

Pani Pamela była wyczerpana. Ten młodzieniec, taki zuchwały, taki rozkazujący, mimowoli ją pociągał. Zresztą nie wiedziała sama, co czyni. Czuła, że dzieje się coś niezwykłego, i ta niezwykłość miała urok nieprzeparty. Dała się prowadzić. Oparła się nawet na ramieniu rewolucyonisty... Weszli w aleje parku. Powietrze było wilgotne, ciepłe, duszne, pod cieniem drzew stuletnich. W porze obiadowej nikt spaceru nie używał. Zasiedli na pierwszej ławce sami.

Rewolucyonista znowu ujął rękę pani Pameli i opowiadał jej o niebezpieczeństwach, jakie wciąż nań czyhają. Opowiadał barwnie, stylem prostackim, jak go kiedyś schwytano, jak zbito, jak zręcznie wymknął się konwojowi, gdy go prowadzono z „części" do więzienia. Dziś jest wolny, chce używać, chce się bawić. Niewiadomo, co wieczór przyniesie... Wstał wkrótce, podał rękę pani Pameli. Poszli wolno w głąb cienistego parku...

Naraz w dali ukazało się dwóch ludzi. Rewolucyonista szepnął: „oni", i opuściwszy panią Pamelę, w lot usunął się w boczną ścieżynę. Obok samotnej kobiety przeszedł jegomość w okularach.

Czekała czas jakiś. Nie wiedziała, co się stało. Z odrętwienia obudził ją szum i poświst mknącego w oddali pociągu. Chciała spojrzeć na zegarek, ale widocznie zgubić go musiała w wagonie, w chwili szamotania się, na którego wspomnienie dreszcz ją przechodził, czy w czasie jazdy bryką... Przeraziła się i tej zguby, i jegomościa w okularach, dobyła sił ostatka i pobiegła w stronę dworca. Drżąca, rozpłomieniona wskoczyła do wagonu i padła na ławkę pierwszą z brzegu. Opuściły ją siły tu dopiero, u celu. Nie pamiętała, w jaki sposób znalazła się wreszcie w domu... Zasnęła snem gorączkowym i trapiły ją, jak zmora żarzące się od błysków oczy rewolucyonisty, raz widziane na jawie w przedziale wagonowym!... Bała się ich, a jednak, poza uczuciem wstydu, czuła niby jakąś tęsknotę za niemi...

Nazajutrz dowiedziała się z gazet, że w Wiórdze były wieczorem zaburzenia, że padło kilka ofiar. I ścisnęło się serce pani Pameli dziwnie boleśnie i rozkosznie zarazem. Czuła, że duszą była w tej otchłani rewolucyjnej... Gdyby mąż był w domu, rzuciłaby mu w czasie śniadania spojrzenie pogardy.

Minęło jeszcze dni parę. Pani Pamela, pijąc czekoladę, rozpamiętywała po raz setny dzieje swojej wycieczki, gdy służąca podała jej niezwykły jakiś szary papierek... „Sędzia śledczy N rewiru wzywa na godzinę pierwszą..."

Co to?... Ona, Pamela, wmieszana do procesu rewolucyjnego! Co powie mąż, co ludzie?... Co czynić, jak się ratować? Do kogo się udać? Gdybyż przynajmniej ten safanduła mąż był w domu. Ostatecznie przyznałaby się do... do przypadkowej rozmowy z jakimś szaleńcem rewolucyjnym. To może się zdarzyć każdemu. Ale przecie nic, oprócz rozmowy, nie było...

Ostatecznie ubrała się w ciemną suknię, nie zapomniała gęstej woalki i znalazła się w gabinecie sędziego śledczego.

* * *

— Poznaje pani ten zegarek?...
— Ze... ga... rek?... Tak, to mój zegarek.
— A Wańkę Chwosta pani zna?
— Wańkę Chwosta?... Wańkę Chwosta?... Nie, panie.

— Proszę się nie zapierać... Wańka Chwost należy do bandy łotrów, którzy okradli w nocy willę w Wiórdze, w czasie nieobecności lokatorów. Byliście z nim w zmowie. I on i pani zrana odwiedzaliście willę, by upewnić się, że stoi pustkami...

— Ja, ja w zmowie?... ja... ja okra... dłam?...

I pani Pamela upadła zemdlona.

Sędzia ma apteczkę podręczną. Ocucił pięknego świadka i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Uspokój się pani. Wańka okradł i panią. Proszę zabrać zegarek i podpisać protokół. Na tem się skończy...

* * *

A gdy pani Pamela była już za drzwiami, odezwał się do protokolanta:

— Głupia baba!

Ministeryum, którego tworzenie na mocy praw zasadniczych, przysługuje jedynie tylko carowi, duma nie uznawała, nie chciała słuchać ministrów, witała ich wrogimi i lekceważącymi, a żegnała obrażającymi okrzykami. Przytem nie opracowała ona ani jednej ustawy, oprócz dwuwierszowego projektu zniesienia kary śmierci, ani jednej sprawy nie rozstrzygnęła, oprócz wyasygnowania 15,000.000 rubli na walkę z głodem w guberniach dotkniętych nieurodzajem. Traciła czas na długie mowy.

Idąc posłusznie za rewolucyonistami, nie odważyła się duma nawet wyrazić słów potępienia dla okrutnych morderstw przedstawicieli władzy i osób prywatnych, lecz bez żadnych dowodów w ręku potwarczo oskarżała rząd o urządzanie pogromów żydowskich. Więcej zamykała oczy na ustawiczne rabunki, podpalenia i ruinę obywateli ziemiańskich. Wreszcie uchwaliła wniosek zwrócenia się naprzekór i z pominięciem rządu z odezwą do ludu wprost od dumy. W takiem postępowaniu można widzieć tylko zbrodniczą zdradę złożonej przez nią przysięgi. Jedynem wyjściem było rozwiązanie dumy i rozpisanie nowych wyborów. Nowomianowany prezes rady ministrów Stołypin ogłosił, że zamiary cara nie uległy zmianie, że rząd przejęty jest mocnym zamiarem przyczynić się do zniesienia praw przestarzałych, nie odpowiadających swemu przeznaczeniu; że wreszcie dawny ustrój zostanie odnowiony, porządek zaś musi być ochraniany i za utrzymanie porządku odpowiedzialni są gubernatorowie w całej Rosyi. Zapobiedz małorolności, szachownicom i t. p. można jedynie po dokładnem rozważeniu wszystkiego, i to stopniowo; prędko można tylko zabrać i ograbić, ale to nie pójdzie na pożytek, bo trzeba będzie za to odpowiadać.

Uprzedzając ludność o nowych wyborach, gubernator kończy odezwę przypomnieniem, że posłom do dumy potrzeba nie pustej wymowy, lecz trzeźwego i rozważnego słowa; nie pochwyconej tu lub ówdzie powierzchownej wiedzy, lecz gruntownego i dokładnego przygotowania na gruncie znajomości spraw miejscowych; nie młodzieńczych uniesień, lecz zrównoważonego rozumu i życiowego doświadczenia, miłości ojczyzny, uczciwości, gorliwości i stałości przekonań. Tylko z sumiennymi przedstawicielami zdołają się urzeczywistnić gorące pragnienia serca cara, aby naród był szczęśliwym i powrócą zachwiane obecnie pomyślność i dobrobyt Rosyi."

KRONIKA.

Lwów 9 sierpnia.

Namiestnik Andrzej hr. Potocki wyjechał wczoraj wieczorem do Krynicy na posiedzenie komisyi znawców w sprawie rozstrzygnięcia konkursu na budowę nowych łazienek.

Hr. Jerzy Esterhazy, właściciel wielkiego klucza dóbr Oszlop na Węgrzech, wstępuje do zakonu. Jest to człowiek światowy, bardzo bogaty, odgrywał na salonach węgierskich dość wybitną rolę. Ożeniony był z hrabianką Mosconi-Fogaroli, osobą cudnej urody i miał z nią jednego syna. Przed kilkunastu laty umarła mu żona, a teraz umarł mu syn. Pod wpływem tych dwóch strasznych ciosów, zniechęcił się do świata i do jego uciech i postanowił poświęcić się Bogu. Ma lat 58.

Konkursa rozpisują: Zwierzchność gminna m. Skały nad Zbruczem na posadę lekarza gminnego. Podania do 31 sierpnia. — Zwierzchność gminna miasta Zatora na posadę sekretarza, oraz kontrolera kasy dla urzędu miejskiego w Zatorze. Początkowa płaca wynosi 1200 K. Podania do 15 września.

Uniwersytet lwowski liczył w ubiegłem półroczu letniem ogółem 3048 słuchaczy. Na wydział prawniczy uczęszczało 1583 słuchaczy, na filozoficzny 950, na teologię 389 i medycynę 126. Kobiet studyowało 197, z tego 66 jako słuchaczki zwyczajne, 112 jako nadzwyczajne, 18 hospitantek; na wydziale farmaceutycznym była jedna kobieta. Według wyznań dzielili się słuchacze w następujący sposób: 1496 rzym. kat., 800 gr. kat., 731 mojżeszowego wyznania, 10 ewang., 10 bez wyznania, na inne wyznania wypada mniej niż po 10 słuchaczy. Główny kontyngent słuchaczy (2905) pochodzi z Galicyi, z Królestwa było 41, z Rosyi 45, z Poznańskiego 11.

Katolicki ślub izraelity z katoliczką bez zmiany wyznania. Wiedeńskie *Juristische Blätter* podają relacyę austryackiego starszego sędziego konsularnego w Konstantynopolu radcy Arrigo Frausa o następującem niezwykłem zdarzeniu:

Pewien izraelita, austryacki poddany, chciał się ożenić z pewną Francuską, katoliczką, jednak nie chciał porzucić wiary przodków. Na Lewancie obowiązuje austryackich poddanych przy zawieraniu małżeństw podobnie jak i poddanych innych państw ten przepis, że muszą się przed proboszczem wykazać poświadczeniem konsula, iż wedle ustaw ich ojczyzny nie ma przeszkody do zawarcia danego małżeństwa. Otóż ów izraelita chcący poślubić katoliczkę bez zmiany wiary, nie mógłby był uzyskać takiego poświadczenia, a to dlatego, że wedle §. 64 austryackiej ustawy cywilnej małżeństwo takie jest nie dopuszczalne. Gdyby ów izraelita był nawet wniósł podanie do władz austryackich z prośbą o rodzaj dyspenzy, to to podanie musiałoby być odrzucone, gdyż postanowienie §. 64 u. c. jest wyraźne i niedopuszcza żadnych wyjątków. Tedy ów izraelita wybrał inną drogę. Oto napisał podanie do Stolicy św. z prośbą o zezwolenie mu na ożenienie się z katoliczką bez zmiany wiary. Papież — podówczas jeszcze Leon XIII. — udzielił mu tej dyspenzy. Z pomocą tej dyspenzy ów izraelita skłonił proboszczcza kościoła katolickiego w Muski w Kairze, iż on dał mu ślub, nie żądając od niego poświadczenia konsula austryackiego. Proboszcz bowiem przyznał słuszność wywodom owego izraelity, że jeśli Ojciec św. na małżeństwo zezwala i nie widzi przeszkód, to tem mniej przeciw temu małżeństwu mieć coś mogą ustawy państwa katolickiego, jakiem jest Austrya. Ślub ów odbył się w parafii Muski w Kairze dnia 15 czerwca r. 1898. W jakiś czas później dowiedziały się o nim austryackie władze konsularne i wytoczyły owemu izraelicie dochodzenia za to, że zawarł ślub bez obowiązującego oświadczenia się konsula, a zarazem władze wdrożyły postępowanie o unieważnienie zawartego ślubu.

Odpowiadając na to, ów izraelita wniósł za pośrednictwem konsulatu do władz austryackich, a mianowicie do namiestnictwa Tryestu, skąd on pochodzi, podanie o sukcesywne zezwolenie mu na owo małżeństwo bez zmiany religii. W podaniu tem wskazał on na to, że t. zw. *ratio* § 64 u. c., zakazującego małżeństwa żyda z katoliczką, lub odwrotnie, jest jedynie ta, by ustawową moc obowiązującą nadać przepisowi Kościoła katolickiego. Skoro jednak sam Papież udzielił dyspenzy od tego przepisu — to władze austryackie musiałyby chyba być więcej katolickie jak Ojciec św., gdyby mimoto odmówiły dyspenzy. Namiestnictwo tryesteńskie uznało zupełną słuszność tych wywodów i udzieliło dyspenzy, a zastrzegło tylko, by w celu zadośćuczynienia przepisom, ów izraelita i jego żona katoliczka jeszcze raz przed tym samym proboszczem oświadczyli gotowość zawarcia małżeństwa, czyli ponowili przysięgę małżeńską z powołaniem się na uzyskane zezwolenie i by akt ten został zapisany w ich metryce ślubnej w księgach parafialnych. Ów izraelita z żoną dokonał tego aktu w parafii Muski w Kairze dnia 1 września r. 1900 i w ten sposób jakkolwiek pozostał izraelitą, jest przez prawo i Kościół uznanym mężem katoliczki.

Tyle relacyi austryackiego starszego sędziego konsularnego w Konstantynopolu. Nie mamy przyczyny jej nie wierzyć. Wydaje się nam tylko, iż sprawa z uzyskaniem dyspenzy papieskiej przez owego izraelitę jest nieco niedokładnie przedstawiona. Nie możemy bowiem zrozumieć, jak to jest możliwe, by Stolica św. udzieliła komuś takiej dyspenzy, która jest negacyą dogmatu wiary katolickiej. Ślub bowiem jest przez Kościół katolicki uznany za sakrament taki sam jak Komunia św., bierzmowanie lub kapłaństwo tj. za sakrament, który może być przyjęty jedynie w stanie łaski, czyli że może być udzielony jedynie człowiekowi nietylko ochrzczonemu, ale i jemu tylko po absolucyi wielkich win, a więc po spowiedzi. Przytem, jak wiadomo, Kościół uważa concubinatus z innowiercą za grzech tak ciężki, iż rozgrzeszyć go może zwykły xiądz jedynie *in articulo mortis*, a w zwykłych warunkach do rozgrzeszenia go prawo ma tylko biskup w dyecezyi z tym warunkiem, że penitent podda się surowej pokucie.

Z dziejów anarchii w Królestwie Polskiem. W ubiegłą sobotę 6 bandytów napadło na mieszkanie Antoniny Łapińskiej w Mokotowie pod Warszawą. Pod groźbą rewolwerów Łapińska dała bandytom rubli 100. Suma ta jednak nie zaspokoiła apetytu zbrodniarzy, którzy skrępowali Łapińską i jej 19-letniego syna Aleksandra, poczem rozpoczęli tortury nieszczęśliwych. Pod pałkami zbrodniarzy zamordowaną została Łapińska, syn jej zaś ciężko ranny musiał przyglądać się skrępowany strasznym torturom, jakie zadawali zbrodniarze matce. Ostatecznie zabrawszy 100 rubli, zbrodniarze zbiegli do lasu.

Wczoraj o godzinie 10 wieczorem, z ulicy Bagatela w Warszawie wyjechała parokonna dorożka, w której siedziało jakichś trzech podochoconych młodzieńców, śpiewających „Marsyliankę". Znajdujący się w pobliżu rogatek policyant na czele patrolu krzyknął na dorożkę: „Stój!", woźnica jednak nie słuchał i śpiewających powiózł dalej.

Wówczas, jak opowiadali pasażerowie tramwaju, jadącego w odległości kilkudziesięciu kroków za dorożką, policyant kazał strzelać żołnierzom w ulicę ku owej dorożce. Po pierwszych strzałach woźnica tramwaju zatrzymał konia, a pasażerowie, pomiędzy którymi byli i wojskowi, z obawy o swoje życie wyskoczyli z wagonu, stając za plecami żołnierzy, by nie zginąć od kul, kierowanych wzdłuż ulicy.

Żołnierze dali salwę dwukrotnie, kule jednak uciekającej dorożki nie dosięgły, natomiast jedną z kul pomiędzy Wspólną a Wilczą raniony został dorożkarz jednokonny, druga trafiła przechodzącego od strony dworca wiedeńskiego oficera pułku fortecznego, trzecia zaś raniła idącą trotuarem kobietę. Raniony dorożkarz, Stanisław Leśniewski, otrzymawszy postrzał w plecy, miał tyle jeszcze siły, że skręcił na róg ulicy Wspólnej i tu zaczął prosić kolegów o ratunek, oraz o wezwanie Pogotowia. Raniony oficer padł na środku ulicy. Przechodnie przenieśli go na werandę cukierni Briesemeistra i tu wezwali lekarza Pogotowia. Raniona kobieta, mając dość jeszcze siły, wsiadła do dorożki i pojechała sama na stacyę.

Raniony oficer nazywa się Iwan Ostaszenko. Przed kilku dniami wrócił z dalekiego Wschodu, gdzie brał czynny udział w wojnie z Japonią i pod Liaojanem pięciokrotnie był raniony. Najcięższy jednak postrzał otrzymał po powrocie z wojny — w Warszawie.

Wczoraj, o godz. 6 wieczorem, do biura „Tow. przedsiębiorców przewozowych" na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie wtargnęło 2 wyrostków dobrze ubranych i wyglądających na inteligentów, którzy, grożąc rewolwerami, zmusili do milczenia znajdujących się podówczas w biurze woźnego, jego żonę oraz chłopca, i kazali wskazać sobie, gdzie są pieniądze. Woźny otworzył im szufladę, z której bandyci zabrali kilkadziesiąt rubli, obliczyli je i oświadczywszy, że „jutro przyszlą pokwitowanie", spokojnie odeszli.

Wczoraj około godz. 6 po południu, do sklepu z kawą Jankowskiego przy ul. Marszałkowskiej wtargnęło trzech młodych bandytów, którzy pod groźbą rewolwerów, zmusili sklepową do wydania im całej zawartości kasy, w sumie 4 rb. 53 kop., i, jak zwykle, odeszli bezkarnie, przez nikogo nie ścigani.

Onegdaj do kancelaryi zarządu gminy Nieporęt (pod Warszawą) weszło siedmiu uzbrojonych mężczyzn, i gdy trzej zwrócili się do pisarza gminnego z żądaniem wydania im pieniędzy i paszportów, pozostali stanęli przed kancelaryą na straży. W tej chwili z poza kościoła ukazał się miejscowy starszy strażnik ziemski, Jan Bielik, w towarzystwie wójta gminy p. Wróbla. Stojący przed kancelaryą napastnicy zbliżyli się do strażnika i salwą strzałów położyli go trupem na miejscu. Wójt uciekł. Napastnicy, zajęci w kancelaryi, wybiegli na odgłos strzałów i wszyscy siedmiu pośpiesznie zbiegli w kierunku pobliskiego lasu. Za napastnikami wysłano wojsko, które atoli nikogo nie ujęło.

Wczoraj rano przywieziono do Warszawy kupca z Kałuszyna, Noecha Puławskiego z raną od noża w plecy. Puławski jechał furmanką do Warszawy po zakup towarów. Około Miłosny niewiadomi bandyci napadli na furmankę, a Puławski broniąc się, otrzymał cios nożem. Ile skradziono mu pieniędzy, nie można było odeń dowiedzieć się z powodu ciężkiego stanu jego zdrowia.

W sobotę o godz. 4 popołudniu do fabryki „Stradom" w Sosnowcu weszło około 15 ludzi, którzy odrazu skierowali się do kantoru. Ujrzał ich w korytarzu p. Tarnowski, administrator fabryczny, a zmiarkowawszy, że to są napastnicy, pobiegł do pokoju, w którym znajdował się dyrektor inżynier Tuwan z p. Feliksem Ebertem, przybyłym w interesie. Krzyknąwszy: „Bandyci idą!" p. Tarnowski pobiegł na górę, zaś pp. Tuwan i Ebert wyskoczyli przez okno. Tymczasem bandyci weszli do kantoru, w którym zastali dwóch mężczyzn, obliczających pieniądze; skierowali do nich lufy rewolwerowe, zabrali znajdującą się na stole gotówkę w sumie rb. 700 i usiłowali dostać się do kasy, ale nie mogli tego dokonać, gdyż kasyer p. Naziębło, właśnie przed chwilą był wyszedł, zamknął kasę i wziął klucz ze sobą. W kasie znajdowało się 8000 rubli gotówką. Bandyci, obawiając się, aby nie byli osaczeni, zadowolili się zrabowaniem 700 rubli i zaczęli uciekać. Jeden z ludzi fabrycznych próbował strzelać do nich z rewolweru, ale bandyci wyrwali mu rewolwer i, strzelając, uciekli w kierunku wsi Stradom. W fabryce pracuje około 1300 robotników, ale ich nie alarmowano.

Dziś o godzinie 8 z rana w chwili, gdy szedł do zajęcia urzędnik zakładów gazowych, p. Aleksander Teksel, lat 38, około domu nr. 49 jacyś nieznani ludzie dali do niego kilka strzałów rewolwerowych. P. Teksel padł z przestrzelonym brzuchem i zranionem ramieniem. Wezwane Pogotowie odwiozło go w stanie bardzo groźnym do szpitala św. Ducha. Sprawcy strzałów zbiegli, poraniony zaś nawet nie domyśla się powodów napaści.

Do Rymanowa przybyło od 23 do 6 sierpnia 2076 osób.

Z kolei nam piszą: Z dniem 10 sierpnia br. wprowadza się aż do odwołania przy pociągu ciężarowym codziennym na szlaku Chodorów-Stryj ruch osobowy dla podróżnych II i III klasy. Wskutek czego na przestrzeni Lwów-Chodorów-Żydaczów-Stryj powstanie bezpośrednie połączenie od pociągu osobowego Lwów-Chodorów, odjeżdżającego ze Lwowa o godzinie 3 minut 30 popołudniu.

Temperatura dnia 7 sierpnia o godz. 7mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej + 13, we Lwowie +11, w Tarnopolu +11, w Czerniowcach +14, w Wiedniu +16, w Salcburgu +16, w Gracu +15, w Pradze +15, w Tryeście +22, w Abbazyi +20, w Raguzie +25, w Budapeszcie +16, w Berlinie +15, w Hamburgu +15, w Monachium +15, w Zurychu +15, w Genewie +18, w Lugano +21, w Anglii +15, w Paryżu +17, w Biarritz +22, w Nizzy +23, w północnych Włoszech +23, we Florencyi +22, w Rzymie +22, w Neapolu +25, w Palermo +24, w Madrycie +20, w Sztokholmie +12, w Petersburgu +12, w Wilnie +9, w Warszawie +11, w Moskwie +13, w Kijowie +13, w Odessie +15, w Serajewie +14, w Belgradzie +17, w Bukareszcie +22, w Sofii +17, w Konstantynopolu +24, w Atenach +26. (Temperatura według Celsiusza)

Chmurzy się w całej Europie. Z wyjątkiem południowych Włoch i Hiszpanii wszędzie padają lokalne deszcze.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 11 R. w poł. + 16 R. w cieniu, + 19 na słońcu. Bar. 765. Spada. Prześliczna pogoda.

Na sesyi niewieściej.

— Wysłucham chętnie wszystkie panie; tylko proszę, aby więcej niż siedm dam nie mówiło jednocześnie.

W sądzie.

— Jakto? żyjesz pan tyle lat z żoną i chcesz się rozwieść?

— Ba, pana sędziego to dziwi, żem tego nie zrobił wcześniej, prawda?

Widowiska i koncerty.

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 sierpnia. *Yukito Toro Trio*, sensacyjne oryginalne japońskie igrzyska wojenne. — *Viola de la Sera*, gwiazda subretek ekscentr. — *Vittorio Georgetto*, tancerze na rękach. — „Uderzająca piękność," wodewil. — 12 wspaniałych atrakcyj! — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 7 sierpnia.

(Z.) W sprawie zapowiedzianego ogromnego obstalunku wagonów towarowych przez zarząd kolei państwowych donoszą ze strony kompetentnej, że wprawdzie nie jest jeszcze pewnem, czy zarząd ten zamówi w roku przyszłym aż 6.000 wagonów, jak to oświadczył niedawno reprezentant rządu na konferencyi w Cieplicach, bądź co bądź jednak w najgorszym razie mogą fabryki liczyć na obstalunek co najmniej 3.000 nowych wagonów. Wszystko to zależeć będzie od tego, czy Rada państwa uchwali rządowi w jesieni fundusze potrzebne na te inwestycye. Tabor przewozowy austryackich kolei państwowych składał się z końcem roku ubiegłego z 50.186 wagonów towarowych. W tym roku zamówiło już ministerstwo kolejowe naprzód 420, potem 153, następnie 213, 180, 40, wreszcie 2.000 wagonów, tak, że po wykonaniu tych zamówień wzrośnie liczba wagonów towarowych do 53.192. Przed dziesięciu laty miały koleje państwowe wszystkiego 35.727 wagonów towarowych. Aby w jak najdalszej mierze uczynić zadość potrzebom ruchu, wprowadza zarząd kolei państwowych nowy typ wagonów towarowych, znoszących dwa razy tak wielkie obciążenie jak dotychczas. Dotychczasowe wagony bowiem obliczone były na ciężar 10.000 kilogramów, a obecnie są już na niektórych liniach w ruchu wagony, na które można naładować 20.000 kilogramów.

Wszystkie Kasy oszczędności w Wiedniu wykazują ogromny wzrost kapitałów wkładkowych. Stan wkładek w pierwszej austryackiej Kasie oszczędności wynosił w dniu 31 lipca b. r. 610,000.000 koron, zwiększył się tedy od Nowego Roku prawie o 6 milionów. Przeszło cztery piąte tej sumy składa się z wkładek stosunkowo niewielkich, od których Kasa płaci $3\frac{1}{2}\%$, zaś suma 108 milionów ulokowana jest na książeczki większe niż po 1.000 koron i od tych płaci Kasa tylko $3\frac{1}{4}\%$.

Wedle ostatniego wykazu komisyi dla kontroli długu państwowego, wynosiła z końcem lipca ilość starych not państwowych po 5 i 50 złr., których nie ściągnięto dotychczas z obiegu, sumę 2,584.000 koron. Zdaje się, że właściciele ich nie zgłoszą się już po zapłatę, gdyż zaginęły one, państwo zatem zarobi tę kwotę.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu z dnia 7 sierpnia 1906 r.) — Usposobienie dzisiejszego targu było nieco silniejsze, a jakkolwiek wyższych cen zanotować nie można, to jednak ilość transakcyi była większa i z pewną ochotą dokonana.

Sprzedawano: pszenicę białą od 8·50 do 8·80 koron, czerwoną od 8·30 do 8·60, żyto od 6·10 do 6·30, jęczmień od 7·30 do 7·70, owies od 7·60 do 8·20, groch zwykły od 8·75 do 9·75, groch Victoria od 10·50 do 11·50, groch (do siewu) na paszę od —·— do —·—, wyka nowa od 8·— do 9·—, bobik od 7·— do 7·20, kukurudza stara od —·— do —·—, nowa od —·— do —·—, Cinquantino od 8·— do 8·20, otręby pszenne od 5·— do 5·10, żytnie od 5·25 do 5·40, rzedak od 15·— do 15·75· Wszystko za 50 klgr.

§ Z kolei. *Gazeta lwowska* ogłasza publiczne rozpisanie dostawy materyałów drzewnych potrzebnych dla c. k. Dyrekcyi kolei państwowych we Lwowie na rok 1907. Dotyczące oferty wygotowane na przepisanych formularzach, mają być wniesione najpóźniej do dnia 10 września b. r. godziny 12 południe, do podpisanej c. k. Dyrekcyi. Bliższe warunki tej dostawy są podane w *Gazecie lwowskiej* z dnia 15 sierpnia b. r. i mogą być przejrzane, względnie udzielone w oddziałach III i IV c. k. Dyrekcyi kolei państwowych we Lwowie.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Paryż. Dziennik *La Croix* donosi, jak twierdzi, z pewnego źródła, że Papież powziął decyzyę w sprawie ustawy separacyjnej, lecz ta decyzya prawdopodobnie nie będzie publikowana, ale tylko w stosownym czasie interesowanym stronom doręczona. Dziennik ten jest przekonany, że Papież odrzuca ustawę separującą Kościół od państwa we Francyi.

Rzym. Biskup z Parany w Brazylii, Marcomtez, telegrafował do kardynała Mery del Val, że biskup z San Pablo w Brazylii, który jechał okrętem „Sirio", zginął podczas katastrofy. Marcomtez szuka zwłok, aby je godnie pogrzebać.

Kartagina. Nurek, który pracował na miejscu katastrofy, oświadcza, że we wnętrzu okrętu znajduje się 70 rozkładających się zwłok. Sądzą, że pudło okrętu, silnie wbite pomiędzy dwie skały, trzeba będzie rozsadzić dynamitem.

Marsylia. Przybył tu oddział tureckiej floty celem odebrania dwu torpedowców, zbudowanych na zamówienie Turcyi.

Wiedeń. Cesarz sankcyonował uchwaloną przez Sejm galicyjski ustawę o regulacyi Pełtwi z dopływami.

Nowy Jork. Amerykanie zabili 5 Japończyków, którzy łowili ryby bezprawnie koło wysp Aleuckich.

(Depesze popołudniowe).

Londyn. Do *Daily Telegraph* donoszą z Tokio: Kompetentne koła oświadczyły, że Japonia da swe zezwolenie na otwarcie chińskiego urzędu cłowego w Dalnym, celem pobierania cła od towarów, przewożonych przez półwysep Kwantung, stojący dla wszystkich otworem, w głąb kraju, — ale tylko pod warunkiem, jeżeli podobne postępowanie zaprowadzone będzie na rosyjskiej granicy na stacyach kolejowych w północnej Mandżuryi. Dotychczas — jak twierdzą — towary, przewożone koleją syberyjską do Mandżuryi tak z europejskiej Rosyi jak z Władywostoku, mogły być w Chinach bardzo tanio sprzedawane, gdyż nie było cel, co sprzeciwia się zasadzie równości wszystkich krajów.

Kartagina. Z podróżnych okrętu „Sirio" uratowano 522 osób; brakuje 270.

Waszyngton. Zastępca sekretarza stanu Bacon przesłał amerykańskiemu ambasadorowi w Tokio w drodze telegraficznej treść depeszy o zabiciu pięciu Japończyków na wyspach Aleuckich, zaznaczając zarazem, że telegrafuje tylko w celu zawiadomienia ambasadora o ubolewania godnem zajściu, aby zapobiedz rozszerzeniu nieprawdziwych wieści. O zadośćuczynieniu lub wyrażeniu ubolewania w innej formie nie może być mowy, gdyż departament państwowy uważa owych Japończyków za rabusiów, którzy na amerykańskiem terytoryum łowili ryby bez pozwolenia. Poseł japoński złożył Baconowi wizytę, na której obaj stwierdzili, że nie ma powodu do międzynarodowego zatargu.

Petersburg. Przy sposobności uwięzienia kilku anarchistów i rewolucyonistów znaleziono bomby, napełnione bardzo silnym materyałem wybuchowym. Aresztowanego przed kilku dniami profesora Onipka (b. członka dumy, wybranego z gubernii stawropolskiej), oraz dwóch socyalistów-rewolucyonistów oddano pod sąd wojenny.

Samara. Zabójca gubernatora Blocka, syn rzemieślnika Frołow po dłuższem zapieraniu się, przyznał się do czynu. Wykryto, że miał on wspólników, którzy o tej samej porze w dwóch innych miejscach czekali z bombami i bronią na gubernatora.

HOTEL EUROPEJSKI.

Przyjechali dnia 9 sierpnia. Hr. De la Scala z Bukowiny. G. br. Karg z Kamionki Strum. L. br. Brunicki z Węgier. W. Kuschel i W. dr. Siuda z Wiednia. K. Rogawski z Borysławia. R. Lauterbach z Wrocławia. S. Antonowicz z Szypowiec. P. Teodorowicz z Nowosielicy. J. Śmiałowski z Żmigrodu. R. Rudolf z Pasiecznej. S. Wyszyński z Truskawca. J. Tomaszewski z Rosyi. J. Hayn z Berlina.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony — pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 9 sierpnia. J. Dyhdalewicz z Tarnopola. A. Potoccy z Wołynia. Z. Wiśniewski z Przemyśla. N. Żukiewiczówna z Rozalina. M. Urbański, A. Dinzl, L. Robitschek, K. Deutsch, A. Lassungleitner i K. Hofbauer z Wiednia. J. Nowak i J. Łoński z Czeskiego Brodu. A. Krajewski z Ohladowa. W. Zerygewicz z Przenicznik. T. Rozwadowski z Żółkwi. D. Guttmann z Budapesztu. M. Sokołowski z Krakowa. R. Machotka z Pragi. Z. Biesiadeccy z Borysławia. E. Herzig z Sanoka. O. Babacz z Łazówki.

NADESŁANE.

Podziękowanie.

Straszny cios, jaki ugodził w naszą rodzinę wskutek przedwczesnego zgonu naszego nieodżałowanego brata śp. Leopolda Lityńskiego, byłby nie do zniesienia, gdyby nie to ogólne współczucie, ów serdeczny udział bliskich i dalekich w tym ciężkim bólu, jaki strata tego zacnego obywatela, męża i brata wywołała w całym kraju i wśród społeczeństwa, dla którego żył i działał śp. Leopold.

Zanim będziemy mogli wszystkim z osobna podziękować, pośpieszamy w publicznej drodze, złożyć wyrazy naszej gorącej wdzięczności za te objawy serdecznego współczucia i tak liczny udział w oddaniu ostatniej posługi ś. p. Leopoldowi Lityńskiemu. Szczególniejszą wdzięczność wyrażamy JE. Księdzu Arcybiskupowi Dr. Józefowi Bilczewskiemu, który w ostatnich chwilach był zmarłemu nieodstępnym prawie towarzyszem i Sam go SS. Sakramentami opatrzył, jakoteż tym zacnym przyjaciołom, którzy na pierwszą wieść o tragicznym zgonie Leopolda, z dalekich stron kraju nawet z zagranicy pośpieszyli, aby stanąć wśród rodziny zmarłego, ukoić jej boleść i podzielić żałobę. Serdeczne podziękowanie składamy również prasie krajowej za słowa żalu i uznania dla zmarłego, jako odważnego bojownika na polu uprzemysłowienia naszego kraju i jego odrodzenia, wreszcie Tow. śpiew. „Echo", z którem przez całe życie w tak życzliwych zostawał stosunkach, a które go też swoją pieśnią u wyjścia z wrót domu żegnało.

Michał Lityński
w imieniu całej rodziny.

Wiedeń 9 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 20·20—20·30, 20·00—20·10 (spokojnie). — Spirytus: bez zmiany. — Nafta galicyjska bez zmiany.

Budapeszt. 9 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 14·62—14·64, na kwiecień 15·38—15·40; żyto na październik 12·42—12·44, na kwiecień 13·00—13·02; owies na październik 12·72—12·74, na kwiecień 13·04—13·06. Kukurudza na sierpień 12·42—12·44, na wrzesień 12·60—12·62, na maj 1907 r. 10·94—10·96. — Rzepak na sierpień 32·50—32·70. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: dostateczna. — Usposobienie: silniejsze. — Pogoda: pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30), Wiedeń 9 sierpnia.

Marki 117.40, renta majowa 99.50, węgierska renta koronowa 94.80, akcye: austr. zakł. kredyt. 671.00, węg. zakł. kred. 810.00, anglobanku 308.25, union banku 549·—, bankvereinu 548.00, länderbanku 441·50, kolei państw. 672·50, lombardy 164·50, akcye kolei Elbethal 452, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000.00, alpiny 580.50, Rima Muranyi 574.50, prag. Tow. żel. 2772, losy tureckie 162.25, ruble 250.00 Usposobienie: silne.

5-procentowa renta rosyjska na 1906 r. 79.10.

Lwów 8 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —·— do —·—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 579.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 574·00 do 584·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 800·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 195·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·50 do 101·20, 4 proc. los. w 60 lat 98.95 do 99·05. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101·80 do 102·00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·80 do 99·50.—Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99·70 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·80 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·80 do 99·50.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 99.50—100.20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·60 do —·—. Kom. Banku kraj. $4\frac{1}{2}\%$ (8ej emisyi) 101·20 do 101·90. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 98·80 do 99.50. Pożyczki kraj. z r. 1878 proc. —·— do —·— 4 proc. z 1898 r. 99·00—99·70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97·70 do 98·40, $4\frac{1}{2}\%$ po 200 koron 100·00 do 101.30.

Monety. Dukat cesarski 11·24 do 11·40. Napoleondor 19·00 do 19·25. 100 ruble rosyjskie papierowe 249·50 do 251·50. 100 marek niemieckich 117·20 do 117·70.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50, 8.45, 5.25, 9.30*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50, 10,30.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00, 11.25, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20*, 1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 0.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25, 12.45*, 2.45**, 4.05*, 8.35, 6.35*, 11.0[illegible]
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.30**, 6.35, 11.15, 6.37*, 10.08*.
Do Czerniowiec: **2.51, 2.40**, 6-15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7.2[illegible]*.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.30, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 9.10*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 6 maja do 28 września): 7.57 przedpołudniem, 3.2[illegible], 4.30 popołud. i 8.20 wieczór, (w niedziele i rz. kat. święta): 10.00 przedpoł., 1.46 po południu, (od 1 czerwca do 31 sierpnia włącz. codziennie. 9.35 wieczór.
Z Janowa (od 1/5 po 30/9 wł. codzienni): 1.15 popoł., (od 13/5 do 9/9 wł. codziennie 8.45 wieczór, zaś w niedziele i rz. kat. święta 9.25 wieczór.
Ze Szczerca (od 27/5 do 16/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) o 9.40 wieczór.
Z Lubienia (od 13/5 do 16/9 wł. w niedz. i rz. kat. święta o 11.50 wieczór.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 6 maja do 28 września wł.) 6.05 rano. 2.28, 3.40 i 6.26 popoł. (tylko w niedziele i rz. kat. święta); 9.00 przedpoł. i 12.40 popołudniu. Od 1/6 do 31/8 wł. codziennie 8.34 wieczór.
Do Rawy Ruskiej 11.35 w nocy (każdej niedzieli).
Do Janowa: (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie) 9.15 przedpoł. (od 13/5 do 9/9 wł. w niedziele i rz. k. święta) 1.35 popoł., zaś codziennie 8.14 popoł.
Do Szczerca 10.45 przedpoł. (od 27/5 do 16/9 w niedz. i rz. k. święta).
Do Lubienia: 2.01 popoł. od 13/5 do 16/9 w niedziele i rz. k. święta.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

9)

TUNEL POD KANAŁEM LA MANCHE.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Na światło dzienne.

Od pierwszej chwili zdawało mi się, że ta winda wychodzi na wybrzeże. Teraz, leżąc pod zrębem otworu i oglądając się dokoła, przekonywałem się, że moje domysły były trafne. Trzydzieści kroków dzieliło mnie od brzegu, ze trzy mile od mego pałacza i automobilu. Duży mur kamienny bronił windy od strony morza; tego muru strzegł szyldwach. Dziwiłem się, że nie słyszy alarmu, wznieconego już pod ziemią, i czekałem, rychło te głosy dolecą do jego uszu.

Pod wystającym zrębem, na ziemi leżał stos cegieł — one-to uratowały mi życie, zasłaniając przed oczyma szyldwacha. Po chwili powietrze morskie orzeźwiło mnie. Czekałem, co będzie dalej, siląc się na przytomność umysłu.

Nareszcie szyldwach usłyszał alarm w tunelu. Podbiegł do otworu i uszy nastawił. Zrozumiał, że stało się coś złego: krzyczał w otwór, a nie otrzymując odpowiedzi, wystrzelił trzykrotnie w powietrze i pobiegł w stronę głównej bramy.

Gdyby mój serdeczny przyjaciel kierował jego krokami, nie mógłby mi wyświadczyć większej łaski. Odbiegając w przeciwną stronę, szyldwach pozostawił mi wolny dostęp do morza. Na tej drodze leżało moje ocalenie.

Wyskoczyłem z kryjówki. Wprawdzie trzeba było przesadzić mur, dzielący mnie od wybrzeża, ale Jeffery wspominał, że łodzie belgijskie podpływają tam dla wyładowywania relsów. W takim razie musi być jakaś komunikacya między windą a brzegiem, jakaś drabinka, albo ruchome schody.

Rozumowanie było trafne. Po krótkiem poszukiwaniu znalazłem drabinkę i wspiąłem się po niej w górę.

Na wystrzał szyldwacha odpowiedziały inne — bliższe i dalsze. Odezwał się dzwon podwórzowy, zawtórowały mu świstawki; ale byłem już po drugiej stronie muru, widziałem światła okrętów.

Nad morzem nie było żywej duszy. Zacząłem biedz w stronę Calais. Wiedziałem z moich poprzednich wędrówek nad morzem, że za Cap Blank-Nez jest ścieżka, prowadząca w górę do domku fermera.

Czy skręcić w nią, czy biedz dalej brzegiem? Zdecydowałem się na pierwszą drogę, jako krótszą, bo przerzynającą pola. Brodziłem przez pastwiska i łany zbożowe; co chwila zdawało mi się, że słyszę poza sobą kroki, ale to było złudzenie rozgorączkowanej wyobraźni. Nogi zaczynały mi wypowiadać posłuszeństwo; nie dawałem im folgi, biegłem dalej. Wreszcie doszedłem do bitej drogi. W świetle księżyca, który tymczasem wypłynął na jasne niebo, dostrzegłem w oddali wehikuł, zaprzężony w małe koniki.

— Czyżby to była Agnieszka? — pomyślałem, bojąc się wzniecać w sercu nadzieję, tak szaloną.

IX.

Na gościńcu.

Powozik zbliżał się szybko. Usiadłem na kamiennym słupku, znaczącym kilometry, i czekałem. Trudno mi już było utrzymać się na nogach. Rozglądałem się dokoła i wreszcie poznałem, że to gościniec paryski.

Tak, niewątpliwie, Agnieszka zabawiła dłużej w Haut-Buisson i wracała do Calais.

A jeżeli to nie ona? — Znużenie uczyniło mnie obojętnym na niebezpieczeństwo, ale rozumiałem, że na tej drodze grozi mi ono najpewniej.

Wehikuł zbliżał się, w świetle jasnej nocy letniej widziałem kuce — tak, to był faeton Agnieszki. Musiała obok mnie przejechać. Postanowiłem wystąpić naprzeciw niej i powiedzieć jej wszystko.

Z ciemności wyłaniał się jeździec; gdy się zbliżył, zobaczyłem, że to żołnierz. Zeskoczyłem z kamienia i przypadłem do ziemi, za krzakiem, który stał opodal. Żołnierz pędził, co koń wyskoczy — w pogoni za mną; nie miał czasu obszukiwać wszystkich krzaków przydrożnych. Minął mnie. Gdy tętent kopyt umilkł, wyszedłem z mojej kryjówki i stanąłem na drodze. W tejże chwili nadjechał powozik.

— Mademoiselle Agnes! — krzyknąłem, wyciągając ręce. — Wszak mnie pani nie zostawi na drodze?

Ściągnęła cugle konikom. Ujrzałem w jej oczach zdziwienie, bardzo zresztą naturalne: byłem zabłocony, uwalany gliną.

— Kapitan Alfred! — zawołała, poznając mnie po chwili. — Gdzież pański samojazd?

— W Escalles — odparłem, siląc się na spokój. — Zostawiłem go tam pod opieką pałacza Bella. Inżynier Martel wciągnął mnie w pułapkę; chciał mnie uwięzić, ale go powaliłem na ziemię i uciekłem. Oto cała sprawa w kilku słowach.

Mówiłem po angielsku, ze względu na grooma. Słuchała mnie z najwyższem zdumieniem.

— Czy to pan, czy nie pan? — zagadnęła wreszcie.

— Ja, we własnej osobie. Ten jeździec, który panią minął przed chwilą, pędził w pogoni za mną. Inni przelecą tędy za chwilę. Co ja mam począć?

Ja, mężczyzna, szukałem ratunku u kobiety! Nie dziwcie się: w głowie miałem znowu pustkę, nie znajdowałem w niej żadnej rady.

Słuchała mnie w milczeniu. Po jej mądrej główce snuło się tysiące planów.

— Musisz opuścić Calais dziś jeszcze — rzekła po chwili namysłu.

— Łatwo to powiedzieć! Balonem nie przepłynę kanału, a oni będą strzegli wszystkich rogatek, postawią żandarmów w porcie i na kolei. Jakże tu się wyśliznąć?...

— Znajdzie się rada — rzekła. — Jakób odszuka Bella; powie mu, żeby czekał na drodze do Boulogne.

Ze zdumiewającym spokojem zwróciła się do swego grooma, Jakóba. Na jej rozkaz zeskoczył z faetonu i pobiegł do Escalles. Zrobiła mi miejsce przy sobie. Usiadłem.

— Agnieszko! — zawołałem — czemu powiadasz, że muszę opuścić Calais?

— Mówię to ze względu na mego ojca — odparła. — Wywieziesz jego honor do Anglii, a wiem, że go ustrzedz potrafisz. On ma tutaj wielu nieprzyjaciół. Jednym z nich jest Sadi Martel. Dlatego wprowadził cię do fortów.

— Do fortów?... Więc roboty w Escalles są fortami?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Wiesz przecie, że tam pracują przy wzmocnieniu fortów i przy kopalniach węgla.

Nic jej nie odrzekłem, ale w duchu dziękowałem Bogu za te słowa: moja ukochana nie wiedziała o niczem.

— Porozumiejmy się, Agnieszko — rzekłem. — Choćby Sadi Martel knuł zdradę przeciw twemu ojcu, cóż ja mogę zrobić, aby ustrzedz pana Lepeletier od skutków jego nienawiści?

— Powinieneś opuścić Calais, bo inaczej, Martel powie, że bawisz tu za zgodą mojego ojca. Jeżeli dziś nie wyjedziesz, jutro będziesz aresztowany. Ale ty wyjedziesz, bo ja cię o to proszę...

— Nie dość prosić: wskaż mi drogę ucieczki, a odpłynę natychmiast. Czy nie rozumiesz, że to niepodobna. Zaaresztują mnie przy pierwszej rogatce miejskiej. Po co się łudzić?

— Wyjedziemy przez Porte St.-Omer. Nie umyślnie wyprawiłam Jakóba do Escalles i kazałam mu powiedzieć, żeby pałacz czekał z automobilem na drodze do Boulogne, a więc przy Porte St.-Pierre. Tam ustawią straże.

Jej przytomność umysłu była zdumiewająca; a jednak nie ufałem w skuteczność tego planu.

— Postawią straże przy wszystkich rogatkach i bramach, będą lustrowali wszystkie pojazdy.

— Tylko nie pojazd kapitana Lepeletier — odparła spokojnie.

— Być może, ale jak zdołasz ukryć metr osiemdziesiąt centymetrów mojego wzrostu przy świetle księżyca?...

— Wpakujemy je pod budę. Za przybyciem do Calais musisz się widzieć z panem Fordham. Ja do niego pojadę, bo może już żandarmi czekają na ciebie w hotelu. Napiszesz do mnie jutro z Anglii?

— Jutro i codzień. Więc chcesz mieć o mnie wieści, Agnieszko?

— Chcę twego szczęścia — szepnęła.

Zaległo wśród nas milczenie i trwało długo. Byliśmy tak wzruszeni, że słowa więzły nam w gardle, a kucyki tymczasem biegły, każdy obrót koła zbliżał mnie do niebezpieczeństwa. Podnieśliśmy budę.

— Agnieszko — rzekłem — muszę dziś jeszcze widzieć się z twoim ojcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.